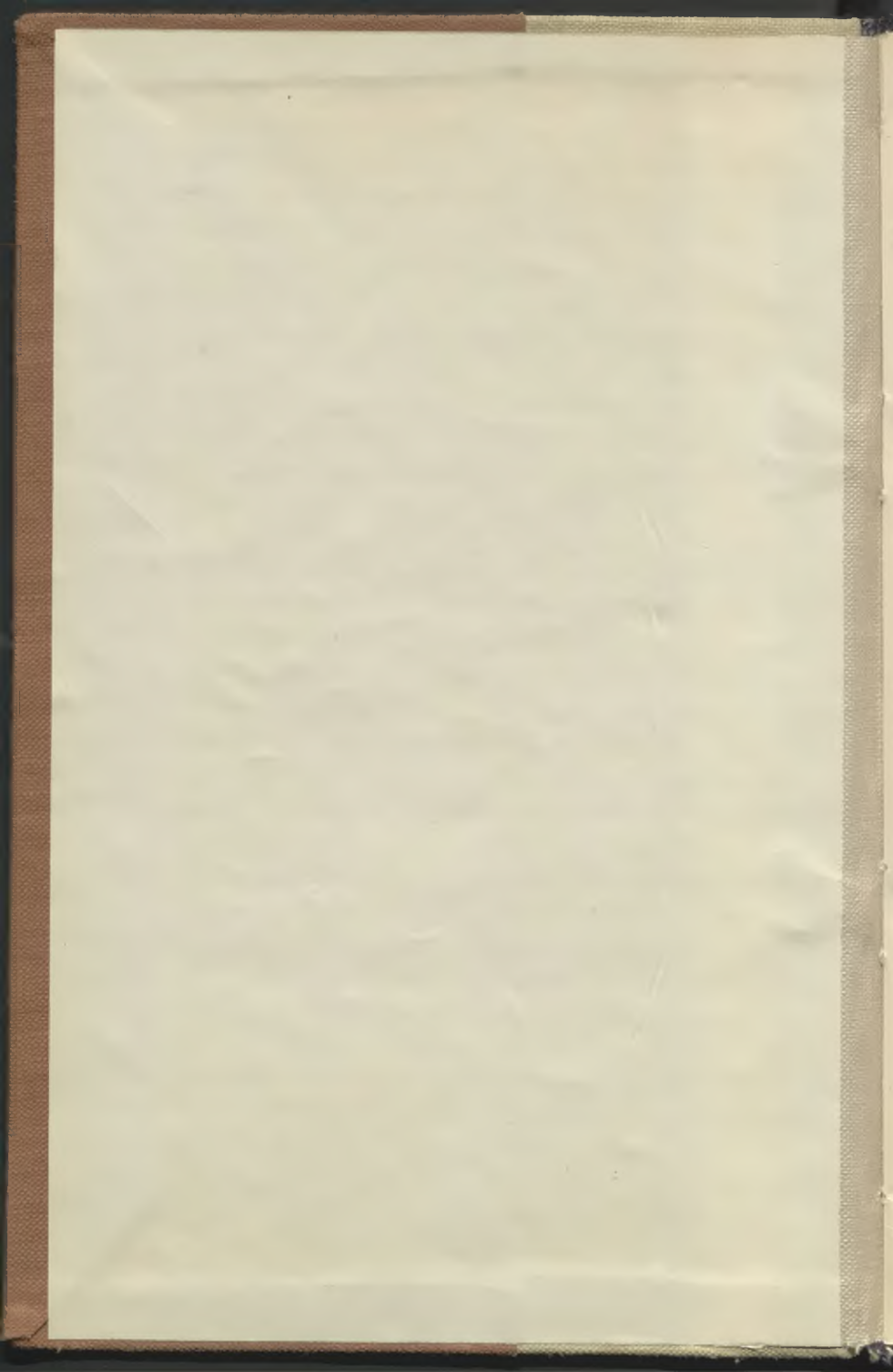
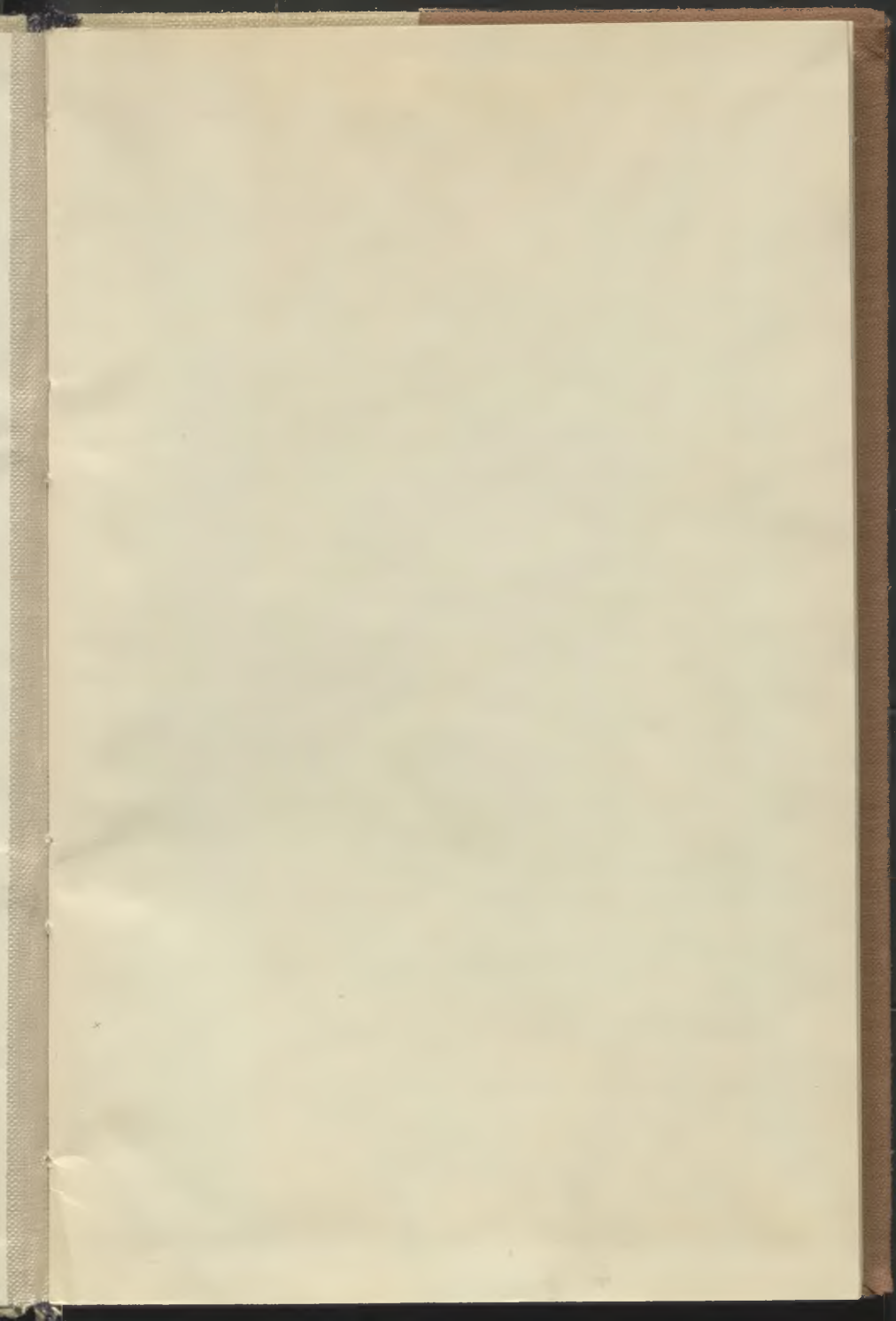
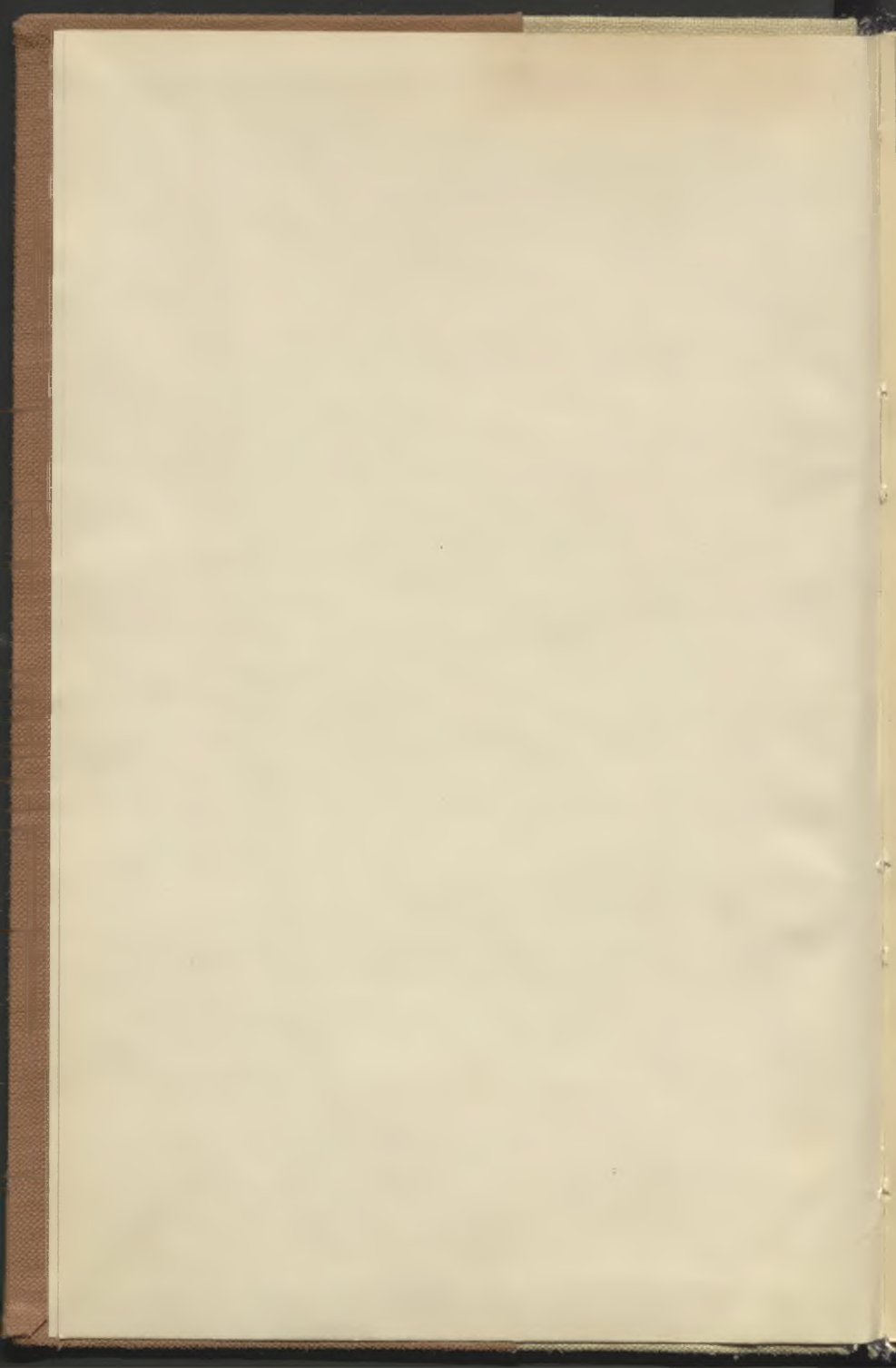


47







Biblioteka
U. M. K.
Toruń

321447
25

MAURYCY MAETERLINCK.

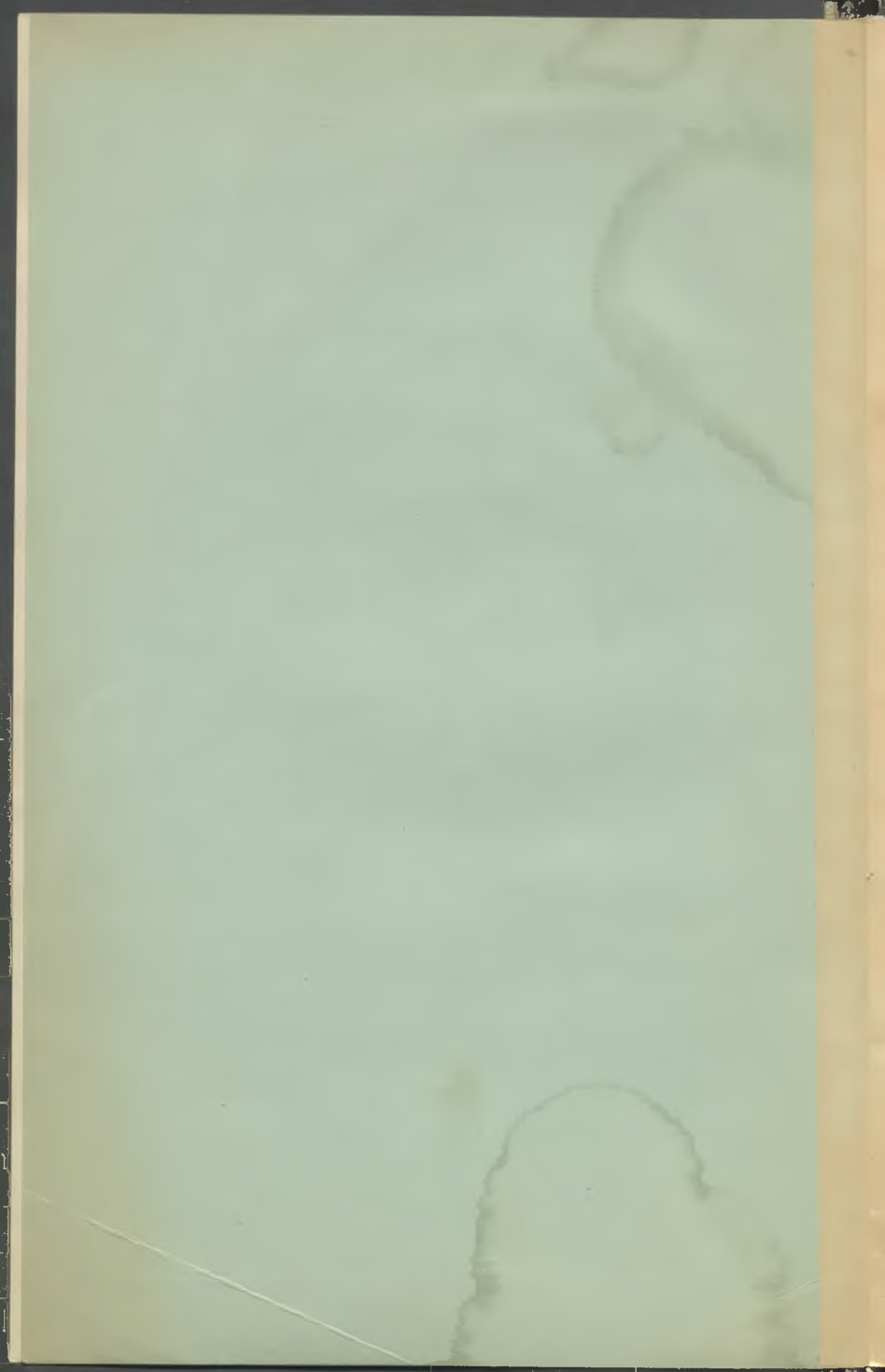
SKARB
POKORNYCH

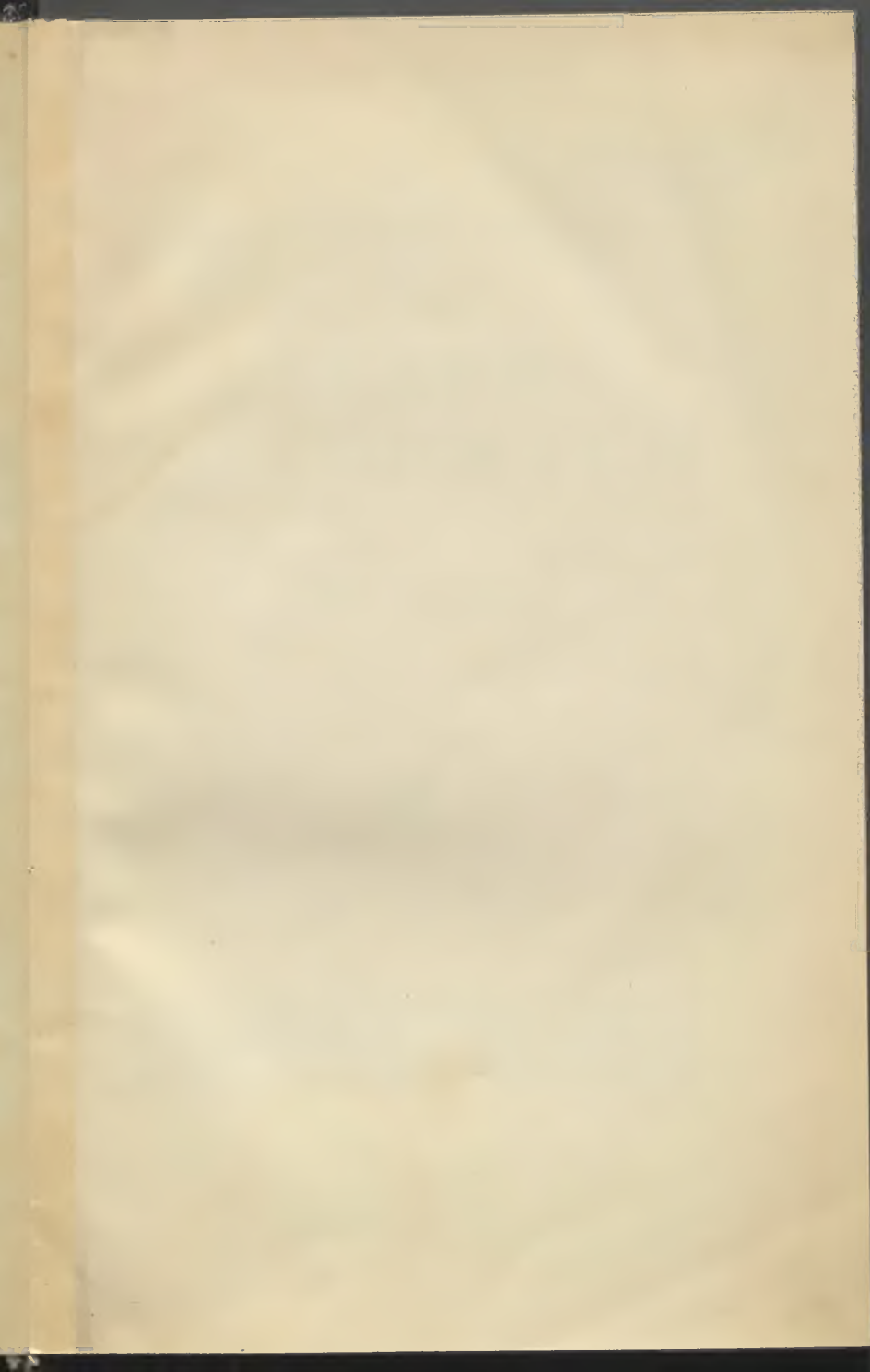
TLUMACZYLA Z ORYGINAŁU
WANDA DALECKA.



WE LWOWIE
KSIĘGARNIA POLSKA (B. POŁONIECKIEGO)
WARSZAWA. E. WENDE I SPÓŁKA.

1903.





DZIEŁO TO ODBITO W DRUKARNI
UNIwersytetu Jagiellońskiego
W KRAKOWIE W ROKU P. MCMIII.



MAURYCY MAETERLINCK.

SKARB
POKORNYCH

TLUMACZYŁA Z ORYGINAŁU
WANDA DALECKA.



NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
B. POŁONIECKIEGO WE LWOWIE.
WARSZAWA. E. WENDE I SPÓŁKA.

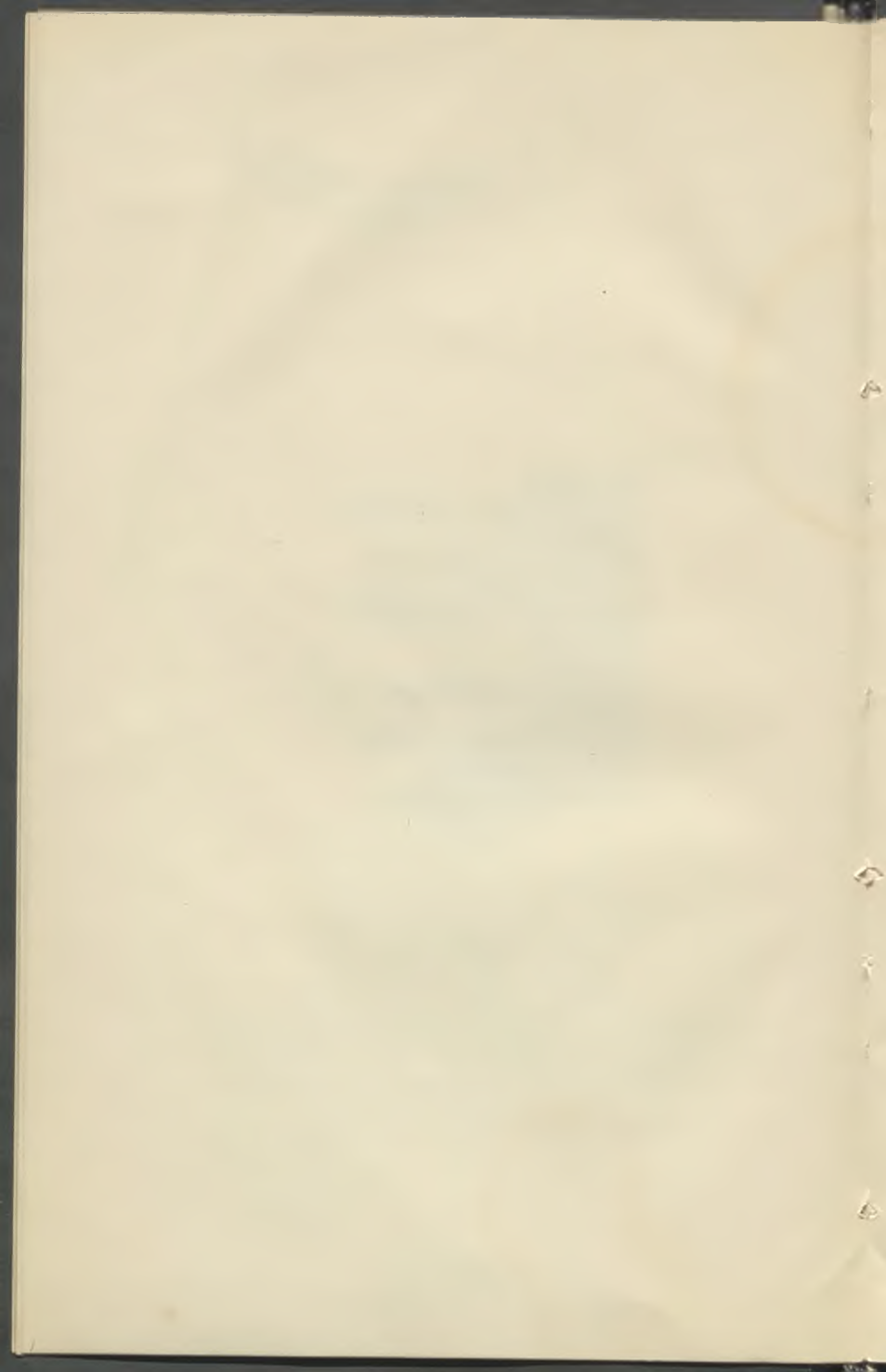


321447

K.2425/60



MILCZENIE.
PRZEBUDZENIE SIĘ DUSZY.
OSTRZEŻENI.
MORALNOŚĆ MISTYCZNA.
O KOBIETACH.
RUYSBROCK PRZEDZIWNY.
EMERSON.
NOVALIS.
TRAGIZM POWSZEDNI.
GWIAZDA.
DOBROĆ NIEWIDZIALNA.
ŻYCIE GŁĘBOKIE.
PIĘKNO WEWNĘTRZNE.



MILCZENIE.

Milczenie i tajemnica! — woła Cartyle — należałoby stawiać im ołtarze czci powszechnej, jeśliby w dniach dzisiejszych stawiano jeszcze ołtarze. Milczenie jest żywiołem, w którym tworzą się rzeczy wielkie, aby doskonałe i majestatyczne mogły wreszcie zajaśnieć w świetle życia, nad którem panować będą. To nie tylko Wilhelm Ponury, lecz wszyscy znakomici ludzie, jakich znałem, nawet najmniejsi dyplomaci i najmniejsi strategicy, wystrzegali się paplać o tem, co zamierzali tworzyć i co tworzyli. A ty sam w twoich biednych, drobnych zabiegach, spróbuj powstrzymać język przez dzień jeden, a zobaczysz, jak nazajutrz twoje zamiary i twoje obowiązki staną ci się jasne! Ile to okruchów i jakie śmiecie wymietli w tobie ci robotnicy niemi, kiedy niepotrzebne hałasy nie dochodziły z zewnątrz. Słowo jest nazbyt często nie, jak powiedział Francuz, sztuką ukrywania myśli, lecz ich gaszenia i zatrzymywania, tak dalece, że nic z nich nie pozostanie do ukrycia. Słowo wprawdzie jest wielkie, lecz nie jest jeszcze tem, co jest największego. Napis szwajcarski głosi: „Sprechen

ist Silbern, Schweigen ist Golden, słowo jest srebrem a milczenie złotem; lecz należałyby raczej powiedzieć: słowo jest w czasie, milczenie jest w wieczności. „Pszczoły pracują tylko w ciemności, myśl pracuje tylko w ciszy, a cnota w tajemnicy“.

Nie należy mniemać, że słowo służy zawsze do prawdziwego porozumienia się między istotami. Zapomocą ust i języka można wyrazić duszę, tak jak cyfra lub numer może wyrazić na przykład malowidło, Memlicka, lecz skoro mamy rzeczywiście powiedzieć coś sobie, musimy milczeć, i jeśli w chwili takiej oprzemy się niewidzialnym a nagłym rozkazom milczenia, poniesiemy wieczystą stratę, której wszystkie skarby mądrości ludzkiej nie potrafią naprawić, bo upuścimy sposobność, w której moglibyśmy posłyszeć drugą duszę, a swojej dać chwilę istnienia. A dużo jest takich istnień, gdzie podobna sposobność nie zdarza się dwa razy...

Mówimy tylko w chwilach, w których nie żyjemy, w chwilach, w których nie chcemy widzieć naszych braci, kiedy czujemy się w wielkiem oddaleniu od rzeczywistości. I skoro tylko przemówimy, wnet coś nas ostrzeże, że gdzieś, jakieś drzwi boskie się zamknęły. Jesteśmy także bardzo skąpi w milczeniu i najlekkomyślniejsi z nas nie będą milczeć z pierwszym lepszym.

Instynkt prawd nadludzkich, którym wszyscy obdarzeni jesteśmy, ostrzega nas, że niebezpiecznie jest milczeć z tym, którego nie życzymy poznać, lub którego nie lubimy, bo słowa mijają wśród ludzi, lecz milczenie, jeśli tylko znajdzie możliwość być czynnem, nie zacierą się nigdy i życie prawdziwe, jedyne, które pozostawia za sobą ślad jakiś, jest utworzone z milczenia. Pomyślcie tu o tem milczeniu, do którego wejść trzeba, aby się samo przez się wyjaśniło; i jeśli danem wam będzie zstąpić w duszę waszą aż do głębokości, w której mieszkają aniołowie, co przedewszystkiem sobie przypomniecie o istocie, którą kochaliście gorąco? nie słowa, które mówiła, nie ruchy jej, lecz te milczenia, które przeżywaliście razem; bo tylko jakość milczenia odkryła wam jakość waszej miłości i jakość dusz waszych.

Dotykam tu tylko milczenia czynnego, bo jest i bierne milczenie, a te jest tylko odbiciem snu, śmierci lub niebytu. Jest to milczenie śpiące, a podczas snu jest ono jeszcze mniejszego znaczenia niż słowo; lecz jakaś nieprzewidziana okoliczność może je nagle zbudzić i wówczas to brat jego, milczenie czynne, strąca je z tronu. Strzeżcie się. Dwie dusze mają dosięgnąć siebie; mury rozstąpią się, tamy pękną i życie zwykle ustąpi miejsca nowemu życiu, w którym wszystko jest bardzo ważnem, wszystko bezbronnem,

gdzie nic już nie ośmieli się śmiać, nic już nie słucha rozkazów, nic nie zapomina...

A dlatego tak głęboko obawiamy się milczenia, że nikt z nas nie zna tej ciemnej potęgi i jej gry niebezpiecznej. Znosimy odważnie milczenie samotne, własne nasze milczenie; lecz milczenie wielu, milczenie pomnożone, a nade wszystko milczenie tłumów jest ciężarem nadmiernym, przed którym drżą wszystkie dusze. Zużywamy część naszego życia na wyszukiwanie miejsc, gdzie nie panuje milczenie. Jak tylko spotka się dwoje czy troje ludzi, zaraz myślą, jakby wygnać niewidzialnego wroga, bo ileż zwykłych przyjaźni ma za podstawę jedynie nienawiść ku milczeniu? A jeśli mimo wszelkich wysiłków uda się milczeniu wsliznąć się między istoty razem zgromadzone, one, te istoty, z niepokojem zwrócą twarz ku uroczystej stronie rzeczy niewidzialnych, a potem oddalą się śpiesznie, pozostawiając miejsce nieznanemu, a w przyszłości unikać się będą, w obawie, aby odwieczna walka raz jeszcze nie stała się nadaremna, lub aby któryś z nich nie był tym, co otworzy skrycie drzwi przeciwnikowi...

Większość z nas nie więcej jak dwa lub trzy razy w życiu zrozumie milczenie i da mu przystęp do siebie. Tylko w uroczystych okolicznościach odważamy się przyjąć tego nieprze-

niknionego gościa; lecz wówczas prawie wszyscy godnie go przyjmujemy; bo i najnędzniejsi nawet mają w swem istnieniu chwile, w których wiedzą jak postąpić, jakby już wiedzieli to, co wiedzą bogi. Przypomnijcie ów dzień, kiedy przyjeśliście bez obawy wasze pierwsze milczenie. Wybiła straszliwa godzina; ono szło ku duszy waszej. Widzieliście, jak powstało z otchłannych przepaści życia, o których nigdy się nie mówi, z głębi wewnętrznego morza piękna lub zgrozy — i nie uciekliście przed niem... Było to przy powrocie lub na progu odjazdu, w pędzie wielkiej radości, obok śmierci lub na skraju nieszczęścia. Wspomnijcie te chwile, kiedy odkrywają się wszystkie skarby tajemne, kiedy wszystkie prawdy uspięne budzą się nagle, i powiedzcie mi, czy wówczas milczenie nie było dobrem i niezbędnem, czy pieszczoty wiecznie ściganego nieprzyjaciela nie były cudownymi pieszczotami? Pocałunki nieszczęśliwego milczenia — bo przedewszystkiem w nieszczęściu milczenie bierze nas w objęcia — nie dadzą się nigdy zapomnieć; i dlatego to ci, którzy spotykali się z niem częściej, są więcej warci niż inni. Może oni jedni tylko wiedzą, na jakich wodach głębokich i niemych spoczywa cienka powłoka życia codziennego, oni jedni zaszli bliżej ku Bogu, a kroki, które stawiali w stronę światła-

ści nie zaginą nigdy; bo dusza jest czemś, co może się niepodnosić, ale zstępować nie potrafi nigdy...

„Milczenie, wielkie Mocarstwo milczenia“, — woła jeszcze Cartyle, — który zna tak dobrze to państwo życia nas piastujące — „jesteś wyższe niż gwiazdy, głębsze, niż państwo śmierci!! Milczenie i szlachetni ludzie milczący!... Rozrzuceni to tu, to ówdzie, każdy w swoim zakątku myślą w ciszy, pracują w ciszy, a poranne dzienniki nic o nich nie mówią. Są oni solą ziemi i kraj, który ich nie posiada albo za mało ich posiada, nie na dobrej jest drodze. Jest to las bez korzeni, który cały wybujał w konary i liście i musi uwiędnąć wkrótce, przestać być lasem...!

Ale milczenie prawdziwe — większe jeszcze niż to materyalne milczenie, o którym mówi nam Cartyle — do którego trudniej jeszcze się zbliżyć, nie jest tym bogiem, który może opuścić człowieka. Ono ze wszystkich stron nas otula, jest głębią naszego mniemanego życia i za ledwo ktokolwiek z nas drżącą ręką zapuka do drzwi przepaści, zawsze to samo wierne milczenie drzwi mu otworzy.

I oto raz jeszcze jesteśmy wszyscy zrównani w obliczu rzeczy niezmiernej; milczenie króla czy niewolnika w obliczu śmierci, boleści, miło-

ści ma rysy te same i w fałdach swego tajemniczego płaszcza ukrywa te same skarby. Tajemnica tego milczenia, które jest milczeniem zasadniczym i nieuchronną ucieczką dusz naszych, nie zaginie nigdy, i gdyby pierwszy człowiek urodzony na ziemi spotkał się z ostatnim jej mieszkańcem, obydwaj milczeliby jednakowo w swych pocałunkach, w zgrozach i łzach, milczeliby jednakowo we wszystkim, co musi być pojętem bez kłamstwa i po przez przeciąg tylu wieków, w jednakim czasie zrozumieliby zarówno, jak gdyby w jednej sypiali kolebce, to wszystko, czego usta nie zdołają wypowiedzieć aż po sam koniec świata...

Skoro usta zasypiają, dusze się budzą i zabierają się do dzieła; milczenie bowiem jest żywiołem pełnym niespodzianek, niebezpieczeństw i śmierci, w którym dusze czują się zupełnie swobodne. Jeśli naprawdę chcecie oddać się komu, milczcie; lecz jeśli boicie się z kim milczeć — z wyjątkiem, że ta obawa jest obawą miłości lub wspaniałomyślnem jej skąpstwem, które spodziewa się cudów — strońcie od tego człowieka, bo już dusza wasza wie, co o nim trzymać. Są istoty, z którymi najwięksi bohaterowie nie odważyliby się milczeć, a nieraz dusze, które nie mają nic do ukrywania, drżą, aby inne dusze ich nie podpatrzyły. A są inne je-

szcze, które wcale nie posiadają milczenia i zabijają dokoła siebie milczenie, i to są jedyne istoty, które przechodzą niepostrzeżone. Nie zdolają nigdy osiągnąć strefy światła stałego i wiernego. Nie możemy sobie wytworzyć prawdziwego pojęcia o człowieku, który nie milczał nigdy. Można byłoby powiedzieć, że dusza jego nigdy nie miała oblicza. „Nie znamy się jeszcze, pisał do mnie ktoś, kogo kochałem nad wszystkich, nie odważyliśmy się jeszcze milczeć razem“. I było to prawdą; jużśmy się tak głęboko kochali, iż obawialiśmy się próby nadludzkiej. Ile razy milczenie, ten anioł prawd najwyższych, wysłannik szczególnego nieznanego każdej miłości, zstępował do nas, dusze nasze na klęczkach błagały łaski, modliły o kilka jeszcze godzin niewinnych kłamstw, o kilka godzin nieświadomości, o kilka godzin dzieciństwa... A wszakże godzina milczenia musiała uderzyć. Jest ono słońcem miłości, w jego świetle dojrzewają owoce duszy, jak w innym słońcu owoce ziemi naszej. Lecz nie bez słusznej podstawy ludzie się go obawiają, nigdy bowiem nie wiadomo, jaka będzie jakość mającego się urodzić milczenia. Jeśli wszystkie słowa podobne są do siebie, wszystkie milczenia różnią się pomiędzy sobą i w większości wypadków cały los zależy od jakości pierwszego milczenia, które dwie

dusze gotują się wytworzyć. Zlania się odbywają niewiadomo gdzie, bo źródła milczenia leżą o wiele wyżej ponad źródłami myśli i napój niespodziewany staje się okrutnie gorzkim lub głęboko słodkim. Dwie dusze zachwycające i równej mocy mogą dać życie nieprzyjaznemu milczeniu i w ciemnościach wieść będą niewdzięczną walkę, podczas gdy dusza zbrodniarza może milczeć cudownie z duszą dziewicy. Niczego tu z góry określić nie można; wszystko odbywa się w jakimś niebie, które nie uprzedza nigdy, i oto dlaczego nieraz najczulsi kochankowie odraczają do ostatniej godziny uroczyste nadejście wielkiego odkrywcy głębin ich istoty...

A wiedzą także — bo miłość prawdziwa najlekkomyślniejszego nawet przywodzi do centrum życia — to wiedzą także, że wszystko inne było tylko igraszką dziecka na obrębie murów, i oto teraz mury opadną a istnienie stanie otworem. Milczenie ich będzie tak wielkiem, jak ci bogowie, którzy w nich mieszkają, i jeśli nie zdołają porozumieć się w tem pierwszym milczeniu, dusze ich nie będą mogły się kochać, bo milczenie nie zmienia się nigdy. Może ono wznieść się lub zniżyć się między dwiema duszami, lecz natura jego nie zmienia się nigdy; aż po kres życia kochanków zachowa kształt, położenie i moc

pierwszej chwili, kiedy wchodziło do pokoju po raz pierwszy.

W miarę, jak zagłębialmy się w życie, spostrzegamy, że wszystko dokonywa się według nie wiem jakiegoś przedwstępnego rozumowania, o którym nie wypowiedziano ani słowa, o którym nie myślało się nigdy, o którym wie się jednak, że istnieje kędyś, ponad naszymi głowami. Najmniej przezorny z ludzi uśmiecha się przy pierwszym spotkaniu, jak gdyby był starym współwinnym losu swoich braci. W dziedzinie, w której żyjemy, ci nawet, co umieją przemawiać najgłębiej, czują dobrze, że słowa nie wyrażają nigdy rzeczywistych a szczególnych stosunków, zachodzących między dwiema istotami. Jeśli wam mówię w tej chwili o miłości, o śmierci lub przeznaczeniu, nie dosięgam śmierci, miłości lub przeznaczenia, i mimo moich wysiłków pozostanie zawsze między nami jakaś prawda nie dająca się wypowiedzieć, nie mająca nawet idei wypowiedzenia; a jednak ta prawda bez głosu żyła między nami jakąś chwilę i nie mogliśmy przy niej myśleć o czemś innym. Ta prawda jest właśnie naszą prawdą o śmierci, przeznaczeniu lub miłości; a mogliśmy ją tylko wyczuć w ciszy. I jedno jest tylko ważnem, to — milczenie. „Siostry moje, mówi dziecię w jakiejś bajce o wrózkach, każda z was ma jakąś myśl

tajemną i ja chcę ją poznać“. My także posiadamy coś takiego, co chcielibyśmy w nas poznać, lecz jest to ukryte o wiele wyżej niż myśl tajemna; jest to nasze milczenie tajemne. Lecz pytania są zbyt liczne. Każda czynność czuwająca nad sobą umysłu staje się nawet przeszkodą dla tego życia drugiego, które ma istotność swą w tajemnicy; chcąc wiedzieć, co dzieje się rzeczywiście, musimy uprawiać między sobą milczenie; w milczeniu bowiem tylko wpółotwierają się na chwilę te kwiaty niespodziewane a wieczne, które zmieniają swój kształt i barwę podług natury duszy, obok której się znajdujemy; Dusze mają swą wagę w milczeniu, tak jak złoto i srebro mają wagę w wodzie czystej, i słowa, które wymawiamy, mają znaczenie tylko dzięki ciszy, w jakiej się kąpią. Jeśli mówię komuś, że go kocham, może nie zrozumieć tego, co powiedziałem stu może innym; ale milczenie, które po moich słowach nastąpi, jeśli rzeczywiście kocham, wskaże jak głęboko sięgają dziś korzenie tego słowa, i z kolei zrodzi ono milczącą pewność, a to milczenie i ta pewność dwa razem w życiu nie będą te same...

Czyż nie milczenie oznacza i ustala smak miłości? Miłość, która jest pozbawiona milczenia, nie ma smaku wiecznego, ani woni wiecznej. Któż z nas nie zna tych niemych chwil, kiedy

Skarb pokornych.

2

rozłączają się usta, aby mogły zjednoczyć się dusze? Tych chwil należy poszukiwać bezustannie. Niema słodsze go milczenia, jak milczenie miłości; zaprawdę, jest to jedyne milczenie, które wyłącznie do nas należy. Inne wielkie milczenia, jak milczenia śmierci, bóleści lub przeznaczenia, nie są naszymi. One idą ku nam z głębi wypadków, w godzinie przez się wybranej, a ci, których nie napotkają, nie mają sobie nic do wyrzucenia. Lecz na poszukiwanie milczeń miłości sami wyjść możemy. Dzień i noc wycze-kują one u drzwi naszych, a są również piękne jak ich bracia. Dzięki im dusze, które też prawie nie znały, mogą żyć z innymi duszami tak blisko jak i te, które były bardzo nieszczęśliwymi; i dlatego to ci, którzy kochali wiele, wiedzą takie tajemnice, których nie znają inni; bo w tem, czego nie wypowiedzą usta przyjaźni i miłości głębokiej a prawdziwej, leży tysiące tysięcy rzeczy, których inne usta nie potrafią utrzymać w milczeniu...

PRZEBUDZENIE SIĘ DUSZY.



Przyjdzie może czas, a wiele rzeczy nadejście jego zapowiada — przyjdzie może czas, gdzie dusze dostrzegać się będą bez pośrednictwa zmysłów.

Państwo duszy naszej rozszerza się z dnia na dzień. Dusza coraz bliższą jest naszej istoty widomej i bierze znacznie większy udział we wszystkich czynach naszych, aniżeli dwa lub trzy stulecia temu. Rzeczy można, że zbliżamy się do epoki ducha. Mamy już w dziejach pewną ilość analogicznych okresów, gdzie dusza, posłuszna jakimś nieznanym prawom, niejako się wynurza nad powierzchnię ludzkości, istnienie swoje i swą potęgę zjawia bezpośrednio. Istnienie to i ta potęga objawiają się tysiącem różnych i nieprzewidywanych sposobów. Zdaje się, że ludzkość w tych chwilach usuwa nieco ciężkie brzemie materii. Zapanowuje wtedy pewien rodzaj ulgi duchowej, a najtwardsze i najbardziej nieugięte prawa przyrody zdają się popuszczać tu i ówdzie. Ludzie są bliższymi sobie i swych braci, osądzają siebie i kochają się poważniej i czulej: subtelniej i głębiej rozumieją dziecię, kobietę, zwierzęta, rośliny i rzeczy.

Posągi, obrazy, pisma, które nam pozostawili, nie są może doskonałe, lecz nie wiem, co za moc i wdzięk żywy uwięziony jest w nich na zawsze. Braterstwo jakieś i tajemnicze nadzieje musiały wtedy tkwić w spojrzeniach ludzi i wszędzie obok śladów życia zwyczajnego znajdujemy tam ślady innego życia, które się nie da wyjaśnić rozumem.

To, co wiemy o starożytnym Egipcie, pozwala nam przypuszczać, że przeszedł on jedną z takich faz duchowych. W epoce bardzo odległej dziejów indyjskich dusza, zdaje się, także zbliżała się do powierzchni... do poziomu, jakiego później nie osiągnęła już nigdy; to też wspomnienia bezpośredniej jej wówczas prawie obecności wywołują jakieś dziwne zjawiska. Są jeszcze inne podobne chwile, gdzie pierwiastek duchowy zdaje się walczyć na dnie ludzkości, jak tonący, co walczy pod wodami wielkiego strumienia. Przypomnijcie sobie n. p. Persyę, Aleksandryę i oba wieki mistyczne średniowiecza.

Za to mamy wieki doskonałe, gdzie piękno i inteligencja panują niepodzielnie, ale gdzie dusza nie ukazuje się już wcale. Tak n. p. trzyma się daleko od Grecyi i Rzymu, od XVII i XVIII stulecia we Francyi (przynajmniej od powierzchni tego ostatniego wieku, ponieważ głębie jego z Klaudyuszem de St. Martin, Cagliostrem, któ-

rego należy brać poważniej, niżli się dzieje, Pascalisem i tylu innymi, ukrywają wiele jeszcze tajemnic). Nie umiemy określić dlaczego, ale brak tam czegoś, tajemne komunikacje zdają się być odcięte, a piękno zamyka oczy. Trudno wyrazić słowami i wyjaśnić, dlaczego atmosfera boskości i fatalizmu, która otacza dramaty greckie, nie wydaje się być prawdziwą atmosferą duszy. Wprawdzie odkrywamy na horyzoncie tych prawdziwych tragedij nieustanne, godne czci misteryum, ale nie jest to owo wzruszające, braterskie misteryum, tak głęboko wstrząsające, jakie znajdujemy w niektórych dziełach mniej wielkich i nawet mniej pięknych.

A weźmy przykład bliższy: jeśli Racine jest nieomylnym poetą serca kobiety, któż utrzymywać się ośmieli, że uczynił choćby krok jeden w kierunku jej duszy? Cóżbyście mi odpowiedzieli, gdybym zapytał was o duszę Andromachy lub Brytanika?

Dusze Racina rozumieją się tylko przez to, co wypowiadają, lecz ani jedno słowo nie przebija tamy morza... Są one straszliwie samotne na powierzchni planety, która nie krąży już w niebiosach. Nie mogą one milczeć, bo przestałyby istnieć. Nie posiadają „zasady niewidzialnej“ i zdaje się, jakoby jakaś substancja odosobniająca znajdowała się między duchami ich i nimi

samymi, między życiem, dotykającym wszystkiego, co istnieje, a życiem, które dotyka ulotnej chwili namiętności, bólu lub pożądania.

Zaprawdę są wieki, w których dusza zasypia, a nikt się o nią nie troszczy.

Dzisiaj zaś jasnym jest, że czyni ona ogromne wysiłki, przejawia się wszędzie w sposób niezwykły, gwałtowny, usilny, jak gdyby na dane hasło i jak gdyby nie miała już czasu do stracenia. Przygotowuje się zapewne do ostatecznej walki i nikt tego przewidzieć nie może, co wyniknie ze zwycięstwa lub klęski. Nigdy może nie stawiała na kartę tylu sił różnorodnych i niepokonanych. Rzeczy można, że skulona ciśnię się do niewidzialnego muru i nie wiadomo, czy agonia, czy życie ją porusza.

Nie mówię już o potęgach okultystycznych, które dokoła nas się budzą: o magnetyzmie, telepatyi, o nieprzeczutych dotychczas właściwościach promieniejącej materii i o tysiącnych innych zjawiskach, które wstrząsają posadami oficjalnej wiedzy. Rzeczy te są wszystkim znane i łatwo się potwierdzają. Nadto są one niczem jeszcze w porównaniu z tem, co dokonywa się w rzeczywistości, albowiem dusza, to jakby śpiący, co w głębokim śnie czyni usiłowania, aby poruszyć ramieniem lub podnieść powieki.

W innych sferach, na które tłum mniej zwraca

uwagi, działa ona skuteczniej jeszcze, chociaż dla oczu nieprzywykłych działania jej mniej są widoczne.

Czyż nie możnaby powiedzieć, że głos jej znajduje się na punkcie rozerwania jednym krzykiem najwyższym ostatnich dźwięków błędu, otaczających ją dotychczas w muzyce? I czyż kiedykolwiek odczuwano bardziej ciężkie brzemie niewidzialnej jej obecności, jak to jest obecnie w dziełach niektórych malarzy współczesnych? Nakoniec w literaturze, czyż nie czujemy, że tu i ówdzie niektóre szczyty oświetlają się światłem zupełnie innym, aniżeli blaski literatur dawniejszych? Zbliżyliśmy się do, nie wiem, jakiejś przemiany, do milczenia, a „wzniosły pozytywizm“, który panował dotychczas, zdaje się prawie wymierać!

Nie zatrzymuję się nad tym przedmiotem, ponieważ zawczasu jest jeszcze by móżdź mówić jasno o tych rzeczach, ale sądzę, że rzadko zdarzała się ludzkości bardziej wybitna sposobność wyzwolenia ducha. Chwilami wygląda to nawet na „ultimatum“ i dlatego niewolno niczego zaniedbywać, coby dało uchwycić tę sposobność doniosłą, bo jest ona z rodzaju snów, które mijają bezpowrotnie, jeśli się ich natychmiast nie uwięzi. Trzeba być roztropnym: dusza nasza nie porusza się bez przyczyny.

Ale ten ruch, który spostrzega się jasno tylko na spekulacyjnych płaskowzgórzach naszego życia, może objawiać się także, chociaż niedostrzeżenie, na najzwyczajniejszych ścieżkach naszego żywota: gdyż niema kwiatu rozpękającego na wyżynach, któryby nakoniec nie spadł na doliny. Czy spadł już? Nie wiem. Ale zdarza się codziennie, że w życiu zwyczajnem między najskromniejszymi istotami znajdujemy jakieś ścieżki tajemnicze a bezpośrednie, zbliżania się dusz, zjawiska duchowne, o których w dawnych czasach nie mówiono nawet. Czyż istnienie ich przed nami było mniej niewątpliwem? Po wszystkie czasy istnieli ludzie, którzy sięgali w samą głąb najbardziej tajemniczych stosunków naszego życia, którzy przekazali nam wszystko, co dowiedzieli się o sercach, duchach i duszach czasu swego. Prawdopodobnem więc jest, że istniały wówczas te same związki, ale nie posiadały tej świeżości i mocy powszechej, co dzisiaj, nie zstępowały aż do dna ludzkości, inaczej bowiem byłyby przykuły do siebie wzrok owych mędrców, którzy milcząco przeszli ponad nimi.

A tutaj nie mówię już o „spirytyzmie naukowym“, o tych zjawiskach telepatyi, „materyalizacyi“ i o innych objawach, które wymieniliśmy wyżej. Idzie tu o wypadki lub interwencye duszy, jakie bezustannie mają miejsce w życiu naj-

bardziej małych i najmniej uświadamiających sobie swe prawa wieczyste. Idzie też o psychologię zupełnie odmienną od tej zwykłej psychologii, która przybrała piękną nazwę Psychy, choć w rzeczywistości troszczy się tylko o zjawiska duchowe najściślej związane z materią. Idzie jednym słowem o to, co musiałyby nam odsłonić psychologia transcendentalna, któraby się zajmowała związkami bezpośrednimi, istniejącymi między duszą a duszą, a zarazem wrażliwością, jakoteż nadzwyczajną czujnością duszy naszej. Nauka ta, podnosząca człowieka o stopień wyżej, jest zaledwie w zaczątku; ale niedługo zapewne nadejdzie czas, kiedy zastąpi psychologię elementarną, jaka dotychczas panuje.

Ta psychologia bezpośrednia, zstępując z wyżyn, zalała już najdrobniejsze niziny, a obecność jej ujawnia się w najmienniejszych nawet pismach. Nic jaśniej nie dowodzi, że ciśnienie duszy wzrosło i że wogóle tajemnicza jej działalność rozpowszechniła się. Dotknęliśmy tu rzeczy, zaledwie wypowiedzieć się dających i możemy dać przykłady tylko niedostateczne i zbyt proste. Dawniej, gdy była mowa o przecuciu, o dziwnem wrażeniu wywołanem spotkaniem się lub spojrzeniem, o postanowieniu, które wyrosło gdzieś w nieznanym zakątku ludzkiego rozumu, o interwencji niewypowiedzianej jednak pojętej

sily, o tajemniczych prawach sympatyji lub antypatyji, o pokrewieństwach wyboru lub instynktu, o rozstrzygającym wpływie niewypowiedzianych rzeczy — nie zatrzymywano się wcale nad temi kwestyami, które zresztą dość rzadko niepokoiły myśliciela. Spotykano je tylko przypadkiem. Nie podejrzrywano, jakim dziwnem brzemieniem ciężą bezustannie na życiu i śpiesznie wracano do zwyczajnej gry namiętności i zewnętrznych wypadków.

Te zjawiska duchowe, któremi dawniej zaledwie zajmowali się najwięksi, najbardziej myślący z pośród naszych braci, niepokoją dziś najmniejszych, a to nowym jest dowodem, że dusza ludzka jest rośliną o doskonałej jednakowości i że wszystkie jej gałęzie kwitną równocześnie, gdy nadejdzie chwila odpowiednia. Wieśniak, któremu nagle byłaby daną zdolność wyrażenia wszystkiego, co znajduje się w jego duszy, wypowiedziałby nam rzeczy, których nie znała jeszcze dusza Racina. I dlatego to ludzie niżsi znacznie niż geniusz Racina lub Szekspira przeniknęli życie tajemnicze, świetlane, względem którego tamto życie, jakie jedynie znali ci mistrze, byłoby tylko odwrotną jego stroną.

Nie wystarczy bowiem, gdy wielka dusza odosobniona chwieje się samotnie w przestrzeni i w czasie. Nie działa ona nic, gdy nie pomogą

jej inne. Jest ona kwieciem mnóstwa i pojawi się wtedy, gdy cały ocean dusz się poruszy. Bo jeśli przyjdzie w chwili ogólnego snu, mówić będzie tylko o marzeniach sennych. Oto jaskrawy przykład: Hamlet w Helsingforsie zbliża się co chwila nad brzeg przebudzenia się a jednak mimo lodowatego potu, co wieńczy błąd jego skroń, ma na ustach słowa, których nie w stanie jest wyrazić, a które wypowiedziałyby dziś z pewnością — albowiem dusza pierwszego lepszego włóczęgi lub lada złodzieja mogłaby mu w tem pomóc. Dziś Hamlet na widok Klaudyusza lub matki, pojąłby, czego wówczas nie widział, albowiem dzisiaj dusze nie zdają się być otulone tylu osłonami. Czy wiesz — a jest to prawda szczególna i zatrważająca — czy wiesz o tem, że jeśli złym jesteś, to widok twój odsłoni to drugim sto razy pewniej i jaśniej, niż dwa i trzy wieki temu wstecz? Czy wiesz o tem, że jeśli dziś obraziłeś jakąś duszę, to dusza pierwszego lepszego chłopca, z którym rozmawiać będziesz o pogodzie lub burzy, powiadomiona jest o tem, jeszcze zanim ręka jego dotknęła klamki drzwi twoich? Przybierz wyraz twarzy świętego, męczennika, bohatera, a oko dziecka, które spotkasz, nie powita cię zwykłym, jasnym spojrzeniem, jeśli kryjesz w sobie złą wolę, niesprawiedliwość lub łzę brata swego. Przed stu

laty byłaby może dusza przeszła obok twojej, nie zwróciwszy na nią uwagi.

Zaprawdę, coraz trudniej ukryć w piersi swej nienawiść, zazdrość lub zdradę przed wzrokiem drugich, tak dusze najobojętniejsze nawet bezustanku mają się na ostrożności. Przodkowie nasi nie mówili nam o tych rzeczach i stwierdzić musimy, że życie, w którym my obracamy się, odmiennem jest zupełnie od życia, które oni nam kreślili. Czyż zwodzili nas, lub nie wiedzieli? Znaki i słowa nie służą już do niczego i wszystko prawie rozstrzyga się w mistycznych kręgach bezpośredniej obecności...

Także i wola, dawna wola tak dobrze znana i logiczna, przemienia się z kolei i zaczyna podlegać głębokim prawom i bezpośrednim związkom, nie dającym się określić. Już niema prawie ukrycia, a ludzie zbliżają się do siebie. Sądzą siebie bez względu na słowa i czyny, a nawet bez względu na myśli, albowiem to, co wiedzą, nie rozumiejąc tego leży ponad dziedziną myśli. A jest to jedno z wielkich znamion, po których poznaje się okresy duchowe, o których mówiłem.

Czuje się ze wszech stron, że stosunki zwyczajnego życia zaczynają się zmieniać, a najmłodszy z pomiędzy nas mówią i działają już dzisiaj inaczej, niż poprzednie pokolenia. Całe mnóstwo

konwenansów, zwyczajów, ustaw i pośrednictw nieużytecznych zapada w przepaść i wszyscy prawie, nie wiedząc o tem, sądzą się wedle niewidzialnego. Jeśli po raz pierwszy wchodzę do twego mieszkania, nie wypowiesz wedle najprostszych praw psychologii praktycznej tajemnego sądu, jaki każdy człowiek dokonywa w sobie nad drugim. Nie powiesz mi, że zasięgnąłeś wiadomości o mnie, ale przytłoczony będziesz ciężarem niezachwianych pewności. Może twój ojciec byłby mnie osądził inaczej, ale byłby się omylił. Należy przyjąć, że jesteśmy na drodze, gdzie człowiek stopi się z człowiekiem i że atmosfera cała się zmienia. Czy uczyniliśmy, jak mówi Claude St. Martin, wielki „filozof nieznanym“, czy uczyniliśmy krok naprzód na pouczającej i świetlanej drodze „upraszczania się istot?“ Czekajmy w milczeniu, może niezadługo zrozumiemy „szepot bogów“.

OSTRZEŻENI.



Większość ludzi ich zna, a matki prawie wszystkie ich spostrzegły. Może są niezbędni, jak wszystkie cierpienia i ci, którzy do nich się nie zbliżyli, są mniej cisi, mniej smutni, mniej dobrzy.

Dziwni są. Zdają się bardziej być zbliżeni do życia niż inne dzieci i jakby nic nie podejrzewają, a jednak oczy ich mają pewność tak głęboką, że prawdopodobnie wiedzą wszystko i w niejeden już wieczór znalazły czas powierzyć sobie swoją tajemnicę. Wówczas, kiedy ich bracia zaledwo jeszcze omackiem błędzą między narodzinami i życiem, oni już zrozumieli siebie, już stoją na nogach z otwartymi rękami i duszą. Z pośpiechem, a rozsądnie i drobiazgowo przygotowują się do życia, i ten pośpiech właśnie jest znakiem, który ich matki, bezwiedne a dyskretne powiernice wszystkiego, co się nie mówi, niemal nie mają odwagi spostrzegać.

Często nie mamy czasu, aby ich zauważyć; odejdą bez słowa, i ci już na zawsze pozostaną nam nieznanymi. Ale inni ociągają się nieco, spoglądają na nas uważnie, z uśmiechem, zdają się chcieć wyznać, że wszystko zrozumieli; a po-

tem, około dwudziestego roku oddalają się z pośpiechem, przyciszając swe kroki, jakby odkryli nagle, że pomylili się o drzwi mieszkania, że przepędzili życie wśród ludzi, których wcale nie znają. Sami prawie nic nie mówią i otaczają się mgłą w chwili, kiedy poczują, że ich zrozumiano, lub gdy człowiek gotów jest ich dosięść. Jeszcze przed paru dniami zdawali się żyć z nami, a dzisiejszego wieczoru stają się nagle tak nam dalecy, że nie śmiemy poznawać ich, ani badać. Stanęli już prawie po tamtej stronie życia i czujemy, że nadeszła chwila, w której musimy oświadczyć rzecz ważniejszą, głębszą, bardziej realną, bardziej człowieczą niż przyjaźń, litość lub miłość; rzecz, która bije śmiertelnie skrzydłami, gdzieś w głębi łona, o której się wie, lecz nigdy się o niej nie mówi, o której nie sposób jest mówić, gdy tyle żywotów przeszło koło nas w milczeniu..! A czas pędzi; i któż z nas nie doczekał tak chwili, kiedy odpowiedzi nikt już dać nie może?

Po co przyszli i dlaczego odchodzą? Czy roszą się po to, aby nam zaświadczyć, że życie nie ma celu? I po co pytać, jeśli odpowiedzi nie otrzymamy nigdy? Byłem kilkakrotnie świadkiem tych rzeczy, a raz widziałem je tak zbliżone, że nie wiedziałem, czy idzie tu o kogoś, czy może o mnie samego...

Brat umarł tak samo. Można byłoby powiedzieć, że on sam jeden tylko był ostrzeżony, nie wiedząc o tem zresztą. Myśmy widzieli może cośkolwiek, nie otrzymaliśmy jednak tego ostrzeżenia organicznego, które on posiadał już od pierwszych dni. Poczem wyróżniamy te istoty, na których zaciąży jakiś wypadek ważny? Nic niema widocznego, a jednak widzimy wszystko. Oni boją się nas, ponieważ mimowoli ostrzegamy ich o tem bezustannie; zaledwo stanęliśmy obok, czują, że przeciwdziałamy ich przyszłości. Ukrywamy coś zwykle przed większością ludzi a nie wiemy sami, co ukrywamy. Między dwiema osobami, które poraz pierwszy spotykają się w życiu, zachodzą dziwne tajemnice życia i śmierci; także dużo innych tajemnic, które nie mają jeszcze nazwy, opanowują niezwłocznie naszymi ruchami, naszym wejrzeniem, naszą twarzą; kiedy ściskamy dłonie przyjaciela, nasza dusza zamienia wyznania, które nie zatrzymają się przed progiem tego życia. Być może, że niema żadnej szczególnej myśli, ukrytej między dwojgiem ludzi, lecz są rzeczy głębsze i potężniejsze niż myśl. Nie jesteśmy panami tych nieznanych darów, i zdradzamy bezustannie proroka, który nie umie mówić. Z innymi ludźmi nigdy nie jesteśmy takimi, jak z sobą samymi; ani nawet takimi, jak w ciemności; nasze spojrzenia zmie-

nią się według przeszłości lub przyszłości, którą inni dostrzegają; i oto dlatego mimowoli stoimy zawsze pod bronią. Spotykając tych, którzy żyć nie będą, nie ich widzimy, ale to, co ma ich spotkać. A oni chcieliby nas zmylić, aby omylić samych siebie. Robią wszystko, aby nas zwrócić z drogi, a jednak poprzez ich uśmiechy i żądę życia, wypadek już prześwieca, jak gdyby był podstawą i samą racją ich istnienia. I oto jeszcze raz, śmierć z nich przemawia; ze smutkiem spostrzegają, żeśmy wszystko widzieli, i że są głosy, które milczeć nie mogą.

Któż wypowie potęgę wypadków i czy to one są nami, czy my nimi jesteśmy? Czy one z nas się rodzą, czy raczej my się z nich rodzimy? My ich przyciągamy, czy one nas przyciągają ku sobie? My je zmieniamy, czy one nas przemieniają? Czy nie mylą się nigdy? Czy przychodzą tak do nas, jak przychodzi pszczoła do ula i gołąbka do gołębnika? I gdzie udają się te, które nie zastały nas na miejscu umówionem? Skąd przychodzą na nasze spotkanie i dlatego tak bratersko są do nas podobne? Działają w przeszłości czy w przyszłości i czy silniejsze są te, których już nie ma, czy te, które jeszcze nadejdą? Czy to dziś czy wczoraj nas przemienia? Któryż z nas nie przeżył większej części swego życia w cieniu wypadku, który nie zda-

rzył się jeszcze? Widziałem tę poważną postawę, ten chód, który zdawał się przeczuwać cel zbyt blizki, to przecucie wielkich chłódów i to oko, które nie było nigdy roztargnionem, nawet u tych, których koniec miał być przypadkowym, na których śmierć uderzała niespodziewanie, z zewnątrz. A jednak śpieszyli tak samo, jak i tamci ich bracia, którzy nosili ją w sobie. Mieli twarz taką samą. Dla nich również życie zdawało się być bardziej poważnem, niż dla tych, którzy żyć muszą. Działali z równem skupieniem, pewnie i cicho. Nie mieli czasu do stracenia; musieli być w pogotowiu o każdej godzinie; tak dalece wypadek ten, któregooby żaden prorok nie mógł przewidzieć, był mimo ich wiedzy życiem ich życia.

Śmierć kieruje naszym życiem, a życie nasze niema innego celu jak śmierć. Śmierć nasza jest formą, w którą się ulewa nasze życie, i ona to kształtuje naszą twarz. Należałoby robić tylko portrety zmarłych, bo oni tylko są samymi sobą i ukazują się nam na chwilę tem, czem są w istocie. Jakież życie nie zajaśnieje w czystem, chłodnem, prostem świetle, które spływa na węzłowie w ostatnie godziny? Jest że to ta sama jasność, która wyblyska na twarzyczki tych dzieci, które uśmiechają się do nas poważnie i nakazują nam ciszę, podobną do ciszy komnaty, w której ktoś zamilkł na zawsze? Kiedy przy-

pomnę sobie te z nich, które znałem, które jednaka śmierć wiodła wszystkie za rękę, to widzę gromadkę dzieci, młodzieńców i dziewcząt wychodzącą jak gdyby z jednego mieszkania. Są już między sobą siostrami i braćmi, można byłoby powiedzieć, że poznają siebie po znakach, których my nie widzimy i że w chwili, gdy na nich nie patrzymy dają sobie znaki milczenia. Są to uważne dzieci niespodziewanej śmierci. W kolegium rozróżnialiśmy je niejasno. Zdawali się szukać siebie i jednocześnie uciekać od siebie, jak ci, co cierpią na jedną i tę samą chorobę. Spostrzegaliśmy ich czasem pod drzewami ogrodu. Mieli zawsze jednakową powagę przy uśmiechu bardziej stałym i bardziej niecielesnym niż nasze uśmiechy, i nie wiem, jakiś wygląd obawy, jakby bali się zdradzić tajemnicę. Kiedy ci, co mają żyć, zbliżali się do nich, one prawie zawsze milkły. Czy już mówiły o wypadku? czy raczej wypadek mimo ich woli mówił przez nie i dlatego tak go starannie ochraniały, aby obojętne oczy tego nie dostrzegły? Chwilami zdawało się, że spoglądają na nas z wysokości wieży; i chociaż byli słabszymi od nas, nie śmieliśmy im dokuczać. Prawdą jest, że nic niema skrytego, i wy wszyscy, którzy mię spotykacie, wiecie dobrze, co zrobiłem i co zrobię, co myślę i co myślałem; wiecie dzień, kiedy mam umrzeć,

tylko nie znaleźliście jeszcze sposobu powiedzenia mi tego, chyba z cicha tylko, własnemu sercu. Mamy zwyczaj przechodzić w milczeniu nad tem wszystkim, czego ręka nasza nie dosięga, i może wiedzielibyśmy za dużo, gdybyśmy wiedzieli to wszystko, co wiemy. Żyjemy obok naszego prawdziwego życia i czujemy, że nasze najskrytsze i najgłębsze myśli nie dotyczą nas, bo jesteśmy czemś innym niż nasze myśli i marzenia. Zaledwo w niektórych chwilach i to przypadkiem, żyjemy podług nas samych. Kiedy staniemy się tem, czem jesteśmy? Tymczasem byliśmy przed nimi jak obcy. Czasami przechadzali się z nami po korytarzach i dziedzińcu, lecz nam przykro było iść z nimi. Niekiedy brali udział w naszych zabawach, a wtedy zabawa nie była już taką jak zawsze. Niektórzy z nich nie mogli odnaleźć swych braci. Błąkali się samotni wśród naszych hałasów i nie mieli przyjaciół między tymi, którzy nie mieli umrzeć. A jednak kochaliśmy ich, i żadna inna twarz nie była nam tak miłą. Cóż było między nimi i nami i co jest między nami wszystkimi? W głębi jakiego morza tajemnic żyjemy? Tu także panowała miłość, która się nie wyraża niczem, bo nie udziela się życiu tego świata. Możeby nie zniosła żadnej próby, może boi się być zdradzoną; najmniejsza przyjaźń zwykła może ją

zwyciężyć, a jednak życie jej jest głębsze niż my sami i może dlatego nie jest nam obojętną, że umie zachować siebie na czasy dłuższe i pewniejsze. Nie przemawia tu, ponieważ wie, że przemówi później, i nie zawsze ci, których ściskamy, są przez nas ukochani najgłębiej. Jest zatem jakaś część życia — i ta jest najczystsza, najlepsza, największa, — która nie miesza się do życia zwykłego, i nawet oczy kochanków prawie nigdy nie przebijają tego muru miłości i ciszy.

Albo może dlatego pozostawialiśmy ich samych, że chociaż młodzi, byli naszymi starszymi?.. Czy wiedzieliśmy, że nie byli nam równi i obawialiśmy się ich jak sędziów? Już ich oczy były mniej niż nasze ruchliwe, i jeśli przypadkiem zwracali je na nasze ruchy żywe, ciężły nam bez przyczyny, a niewytłumaczona cisza zalegała na chwilę. Wracaliśmy: oni patrzyli na nas i uśmiechali się poważnie. Pamiętam twarzyczki dwojga z nich; oczekiwała ich gwałtowna śmierć. Ale niemal wszyscy byli nieśmiali i starali się przejść niepostrzeżenie. Posiadali, nie wiem, jaką wstydlivość moralną, zdawali się przeproszać za winę nieznaną a blizką. Zbliźali się, zamienialiśmy z sobą spojrzenia, usuwaliśmy się w milczeniu, i rozumieliśmy wszystko, nie wiedząc nic.

MORALNOŚĆ MISTYCZNA.



niezawodną jest prawdą, że myśli nasze nadają stanowczą formę niewidzialnym poruszeniom mocarstw wewnętrznych. Jest zatem tysiące i tysiące pewników, które niby zakwefione królowe wiodą nas przez istnienie, a o których nigdy nic nie zdołamy powiedzieć. Zaledwo tylko zapagniemy coś wyrzec o nich, wnet mimowoli zmniejszamy je dziwnie. Zdało się nam, że pograżyliśmy się aż do dna przepaści, jednak kiedy wychodzimy na powierzchnię, kropla wody połyskująca na końcach naszych palców bladych, wcale nie jest podobna do tego morza, z którego wyszła. Zdaje się nam, że odkryliśmy grotę pełną cudownych skarbów, a skoro wyjdziemy na światło dzienne, spostrzegamy, żeśmy przynieśli tylko fałszywe kamienie i okruchy szkła; a wszakże skarb niezmiennie jaśnieje w ciemnościach. Jest coś nieuchwytnego między nami i duszą naszą, i w niektórych chwilach, jak mówi Emerson „dochodzimy do tego, iż pożądamy cierpienia w nadziei, że w niem nareszcie znajdziemy rzeczywistość i uczujemy ostrza i kanty prawdy.“

Powiedziałem niegdyś, że dusze zdają się przy-

bliżyć do siebie, i nie ma to innego znaczenia, jak ustawiczne ale ciemne poczucie, iż nader trudno oprzeć się na faktach, bo fakta nie są niczem innym jak włóczęgami, maruderami lub szpiegami wielkich sił, których nie można widzieć. A jednak można byłoby powiedzieć, że czujemy głębiej niż nasi ojcowie, iż chwilami nie jesteśmy w obec nas samych tylko. Ci, którzy nie wierzą w żadnego Boga, zarówno jak inni, nie działają tak w głębi samych siebie, jak gdyby byli pewni, że są samotni. Jest jakaś straż ogólna, która czuwa w litościwych ciemnościach sumienia każdego człowieka. Byłoby prawdą, że waza duszy ludzkiej mniej jest zamkniętą niż było to kiedyś i że uderzenia morza wewnętrznego stały się potężniejszymi? Nie wiem; co najwięcej skonstatować możemy, że już nie przywiązujemy tyle wagi co niegdyś do pewnej ilości tradycyjnych przewinień; a jest to już znakiem zwycięstwa duchowego.

Zdaje się, że moralność nasza przeistacza się, że drobnymi krokami posuwa się ku wysokim krainom, których nie widać jeszcze. I dlatego nadszedł może czas postawienia kilku kwestyj nowych. Coby się stało naprzykład, gdyby dusza nasza stała się nagle widzialną, gdyby musiała poruszać się wśród swoich siostr zebranych, odarta z obsłon, bez obciążenia swemi najtaj-

niejszemi myślami, ciągnąca za sobą wszystkie tajemnicze akta swego życia, których nic dotąd wyrazić nie mogło? Czegoby się wstydziła? Co pragnęłaby ukryć? Czy starałaby się, jak wstydliva kobieta, rzucić długi płaszcz swych włosów na niezliczone grzechy swego ciała? Lecz ona o nich nie wiedziała, te grzechy nie dosięgały jej nigdy. One były spełniane o setki mil od jej tronu; i nawet dusza sodomity przeszłaby wśród tłumu nie podejrzewając niczego, niosąc w swych oczach przejrzysty uśmiech dziecka. Nie była nigdy wciągniętą do niczego; droga jej życia szła stroną światłości i o tej drodze jedynie będzie pamiętała.

Jakie grzechy i jakie zbrodnie powszednie mogłaby popełnić? Czy zdradziła, czy zwiodła, czy skłamała? Czy kazała komu cierpieć, czy kazała komu płakać? Gdzie była, kiedy tamten wydawał brata swego w ręce wrogów? Może gdzieś łkała daleko od niego i od tej chwili właśnie stała się piękniejszą i głębszą. Nie będzie wstydzić się tego, czego nie popełniła i może pozostać czystą w pośród wielkiej zbrodni. Często w jasności wewnętrzne przemienia to zło, przy którym musiała być obecną. Wszystko zależy od zasady niewidzialnej i stąd bezwątpienia rodzi się niewytłumaczona pobłażliwość bogów.

I nasza pobłażliwość także. Nie możemy za-

kazać sobie przebaczać, i skoro kędy przeszła śmierć, „ta wielka pojednawczyń“, któż z nas nie upadnie na kolana i duszy z pęt wyzwolonej nie uczyni w milczeniu znaku przebaczenia?

Jeśli się pochylę nad nieruchomem ciałem najzaciętszego z moich wrogów, czy sądzicie, że patrząc na te wargi blade, które mnie spotwarzały, na te oczy zagasłe, które kazały płakać moim oczom, na zimne ręce, które może mię torturowały, będę jeszcze myślał o zemście? Wszystko jest splecione przez śmierć, która przeszła tędy.

Ta dusza nic mnie już nie winna; instynktownie (jak ten instynkt jest piękny i pełny znaczenia!) stawię ją ponad najpoważniejsze winy, ponad nieprawości najokrutniejsze. I jeśli żałuję czego, to nie tego, że nie mogę oddać cierpienia za cierpienie, lecz może, że nie kochał dostatecznie, że nie przebaczył wcześniej...

Można byłoby powiedzieć, że już rozumiemy te rzeczy w głębi nas samych. Nie podług czynów, nie podług nawet myśli najbardziej tajnych sądzimy braci naszych, bo tajne myśli nie zawsze są nieczytelne, idziemy znacznie dalej ponad nieczytelne. Jakiś człowiek popełnił zbrodnie, uznane za najniegodziwsze, a jednak najnędniejsza z tych zbrodni nie zmąci ani na chwilę tchnienia świeżości i czystości niematerialnych, które otaczają jego istność; podczas

gdy przybliżenie się mędrca lub męczennika może pokryć duszę naszą nieprzeniknionemi i nieznośnemi ciemnościami.

Święty lub bohater może wybrać sobie przyjaciela wśród twarzy, na których bez trudności czyta się nawyk wszystkich myśli niskich; i przeciwnie, nie będzie czuł się w „atmosferze bratniej lub człowieczej“ obok istoty, na której czole jaśnieją marzenia najwznioślejsze i najwspanialsze. Co to ma oznaczać? i jakie wieści głoszą nam te rzeczy? Są więc prawa głębsze niż te, które kierują uczynkami i myślą? Czego nas uczono? i dlaczego postępujemy zawsze według prawideł, o których się nie mówi, które same jedne tylko są pewne? Bo możnaby śmiało twierdzić, że tu mimo pozorów ani bohater, ani święty nie omylili się wcale. Oni tylko usłuchali rozkazu, a jeśli święty zdradzony został i sprzedany przez człowieka, którego wybrał, coś przecie zostanie niezbitego, co mu powie, że tu nie było pomyłki i że niema czego żałować. Dusza nie zapomni nigdy, że druga dusza była jasną... Gdy poruszymy kamień niemal nieznanany, który pokrywa te tajemnice, uderzy nas zbyt silna woń przepaści i słowa, równie jak myśli, padną dokoła nas jak muchy zatrute. Samo wewnętrzne życie wydaje się nam małą rzeczą wobec tych głębin niewzruszonych. Czy

będziecie się pysznili wobec anioła, że jesteście bez winy i czy istnieje niewinność niższej miary? Kiedy Jezus czytał w myślach nędznych faryzeuszów, otaczających paralytyka z Kafarnaum, czy jesteście pewni, że w tymże samym czasie za jednym analogicznym rzutem oka osądził także ich dusze, potępił je i poprzez ich myśli nie dostrzegł jasności, może niezmaconej? I byłżeby Bogiem, gdyby potępienie Jego było nieodwołalnym? Ale dlaczego tak mówił, jakby się trzymał na zewnątrz? Czyż myśl najbardziej niska albo najbardziej szlachetna zostawia ślad na osi dyamentu? Jakiż Bóg, jeśli rzeczywiście jest na wysokościach, zdołałby nie uśmiechnąć się, patrząc na błędy nasze najważniejsze, jak my uśmiechamy się, spoglądając na małe pieski, bawiące się na dywanie? I cóżto byłby za Bóg, gdyby się nie uśmiechał? Czy sądzicie, że będąc prawdziwie czystymi, usiłowałibyście skryć przed wejrzeniem zgromadzonych aniołów drobne grzechy waszych wielkich uczynków? A wszakże czyż niema w nas takich rzeczy, któreby mogły nas potępić w oczach bogów, siedzących na górach? Mamy ich dużo, z pewnością, i dusza nasza wie, że będzie musiała kiedyś zdać z nich rachunek. W milczeniu żyje ona pod prawicą wielkiego sędziego, którego sądów nie zdoła pojąć nigdy. Lecz jakim będzie ów obrachunek?

Gdzie znaleźć tę moralność, któraby go formułowała? Jestże taka tajemnicza moralność, która panuje w sferach dalekich od sfery naszych myśli; i taka gwiazda środkowa, której nie widzimy i dla której nasze najtajniejsze pragnienia są tylko niedołącznemi planetami? Istniejeż w głębi naszej istoty takie drzewo przejrzyste, któremu wszystkie uczynki i wszystkie cnoty nasze służą tylko za liście i kwiaty efemeryczne? W rzeczywistości, nie wiemy, jakie zło może popełnić dusza nasza i nie wiemy, czegobyśmy się wstydzieli przed jakąś wyższą inteligencją, lub przed inną duszą; a jednak, któż z nas sądzi się bez grzechu, i kto nie obawia się sędziego? I jaka dusza nie obawia się drugiej duszy?

* * *

Tu już nie znajdujemy się na znanych dolinach życia zwierzęcego lub też psychicznego.

Stoimy przed wrotami trzeciego obwodu; boskiego życia mistyków. Po omacku zaledwo przestępujemy próg. Lecz tu, za progiem, gdzie są te pewności? Kędy kryją się te prawa cudowne, które bezustannie przekraczamy, może nawet bez wiedzy naszego sumienia, chociaż dusza nasza była ostrzeżoną? I skąd pochodził cień tych przekroczeń tajemniczych, który niejednokrotnie rozciągał się nad naszym życiem

i czynił je nagle tak strasznie do przeżycia? Które to są te wielkie grzechy duchowe, jakie możemy popełnić? Czy mamy się wstydzić, żeśmy walczyli z duszą naszą, czy to dusza nasza walczy niewidzialnie przeciw Bogu? I jestże ta walka tak ogromnie cichą, że żadne westchnienie nie przebije jej ścian? Czy bywa taka chwila, w której moglibyśmy słyszeć królową z zamkniętymi ustami? Ona milczy beznadziejnie we wszystkich na powierzchni wypadkach; lecz czyż niema innych, ledwo dających się zauważyć, które jednak stykają się z siłami wiecznymi i głębokimi? Oto ktoś umiera, ktoś spogląda, ktoś płacze, ktoś inny zbliża się poraz pierwszy, a tam wasz nieprzyjaciel przechodzi; czy to nie ona może coś szepce wtedy? I gdybyście jej posłuchali, wtedy właśnie, kiedy już w przyszłości nie kochacie przyjaciela, do którego teraz uśmiechacie się jeszcze? Ale to wszystko jest niczem i nie przybliża nawet do zewnętrznych jasności otchłani. Niema możliwości mówić o tych rzeczach, jest się nazbyt samotnym. „W rzeczywistości, mówi Novalis, dusza porusza się tylko to tu to ówdzie; kiedyż wreszcie ruszy się zupełnie i kiedyż ludzkość zacznie traktować sumienie w całej jego masie?” Pod tym warunkiem jedynie niektórzy dowiedzą się czegoś. Trzeba czekać cierpliwie aż to

sumienie wyższe ukształtuje się powoli. Wówczas to może, któryś z tych, co przyjdą, dojdzie do wyrażenia tego, co wszyscy czujemy o tej stronie duszy, będącej jak owa tarcza księżyca, której od początku świata nikt nie dostrzegł nigdy.

O KOBIETACH.



akże i w tej dziedzinie prawa są niezbadane. Ponad naszymi głowami, u szczytu niebios świeci gwiazda miłości nam przeznaczona; a wszystkie nasze miłości, po wszystkie czasy rodzić się będą w promieniach i w atmosferze tej jednej gwiazdy. Naprózno byśmy wybierali i tu i ówdzie, na wyżynach, lub w głębiach najniższych; naprózno usiłowalibyśmy łamać nasze instynkta, aby wyjść poza zaczarowane koło, zamykające wszystkie zdarzenia naszego życia; nadaremnie próbowaliśmy uczynić wybór wbrew nakazowi naszej gwiazdy; wybierzemy zawsze kobietę, która znajdzie z owej gwiazdy niezmienną. A chociażbyśmy jak Don Juan, tulili je w objęciach tysięcy i trzy, to gdy nadejdzie wieczór, gdzie rozplotą się nasze ramiona, i rozłączą się usta, ujrzymy, że zawsze stoi przed nami ta sama kobieta, dobra lub zła, czuła lub okrutna, kochająca lub niewierna...

Zaprawdę nie wychodzimy nigdy poza małe, świetlne koło, które przeznaczenie zakreśliło w promieniu naszych kroków i rzecby można, że ludzie najdalsi nam, znają rozległość i odcień tego nieprzekraczalnego pierścienia. Poznają oni

na pierwszy rzut oka odcień tych duchowych promieni, co sprawia, że albo wyciągają ku nam ręce z uśmiechem, lub cofają je z obawą.

Znamy się wszyscy w jakiejś atmosferze wyższej, a pojęcia, które wytwarzamy sobie o nieznanym, jest cząstką bezpośrednią prawdy tajemniczej, a głębszej niżeli prawda materyalna. Któż z nas nie doświadczył tych rzeczy, jakie dokonywają się w nieprzeniknionych sferach ludzkości już astralnej prawie?

Jeżeli otrzymacie list, pochodzący z głębi jakiejś wyspy zatraconej na bezmiernych przestworzach oceanu, a pisany ręką, o której istnieniu nie wiedzieliście zgoła, czyż pewni jesteście, że to nieznamy pisze do was i czyż nie odczuwacie odczytując list, jakiejś nieomyślnej pewności, co do duszy, z którąście się zetknęli, — nie wiecie już, w jakich sferach pewności poważniejszej, niż wszelkie wasze pewniki zwyczajne? A z drugiej strony czy nie sądzicie, że owa dusza, która myślała o was poprzez wszystkie wypadki czasu i przestrzeni nie miała również analogicznych pewności?

Ze wszęch stron zdarzają się także dziwne wzajemne stosunki i nie jesteśmy w stanie ukryć naszego istnienia. Nic może nie rzuca tak dokładnego światła na te subtelne węzły, istniejące bezwątpienia między wszystkimi duszami,

jak owe drobne tajemnice, towarzyszące wymianie listów między dwoma nieznanymi.

Jest to może jedna z wązkich szpar — drobna co prawda — ale jest ich tak mało, że zadowolnić się musimy, choćby najbledszym światłem — jest to jedna z wąziutkich szpar we drzwiach ciemności, przez którą choć trochę domyślić się możemy, co się dzieć musi w grocie nigdy nie odkrytych skarbów. Przejrzyjcie czyjąkolwiek korespondencję, a dostrzeżecie w niej jakąś szczególną jedność. Nie znam ani jednego ani drugiego, którzy dziś do mnie pisali, a jednak już mam pewność, że nie mógłbym odpowiedzieć pierwszemu w ten sam sposób, jak odpowiedziałem drugiemu. Dostrzegłem coś niewidzialnego. I na odwrót, jeśli ktoś, kogo nie widziałem nigdy, pisze do mnie, to pewny jestem, że list jego nie byłby taki sam, gdyby go napisał był do mego przyjaciela, który patrzy na nas w tej chwili. Będzie tam zawsze jakaś nieuchwytna duchowa różnica. To znak duszy, która wita niewidzialnie drugą duszę. Musimy wierzyć, że znamy się gdzieś w sferach, o których nie wiemy, że posiadamy wspólną ojczyznę, dokąd dążymy, gdzie odnajdujemy się i skąd bez trudności wracamy.

W tej też wspólnej ojczyźnie wybieramy nasze kochanki i dlatego nie mylimy się, a i na Skarb pokornych.

sze kochanki się nie mylą. Państwo miłości jest przede wszystkim ogromnem państwem pewności, dusze bowiem tam mają najwięcej swobody. Zaiste nie mają tam nic innego do czynienia, jak poznawać się wzajemnie, niby siostry, które odnalazły się znowu, uwielbiać siebie i badać ze łzami w oczach, podczas gdy ramiona spletają się a usta się zespalają, gdzieś od dusz daleko... Mają nakoniec czas uśmiechać się do siebie i chwilę żyć dla siebie, zapominając o życiu twardem i codziennem i być może, że z wyżyny tych uśmiechów i tych spojrzeń niewymownych roztacza się nawet nad najbiedniejszymi chwilami miłości, owa sól tajemnicza, która na wieki utrwala wspomnienie spotkania — się dwojga ust...

Ale mówię tu tylko o miłości prawdziwej, przeznaczonej. Gdy odnajdziemy nareszcie jedną z tych, którą los nam przeznaczył, i której ka-zał zestąpić z wielkich grodów duchowych, gdzie przebywamy bezwiednie, i gdy tak stanie na rozstaju, kędy w naznaczonej chwili przejść musimy, ostrzeżeni o tem jesteśmy od pierwszego rzutu oka. Zasłoniwszy rozpaczliwie powieki, możemy nie dostrzedz tego, co musimy widzieć, a walcząc wszystkiemi naszymi drobnymi siłami przeciw siłom odwiecznym, udałoby się nam może ominąć drogę i spotkać inną, która

nie dla nas jest posłaną. Lecz próżne nasze wysiłki, nie zdołamy „poruszyć martwej wody w ogromnych zbiornikach przyszłości“. Nic z tego nie będzie. Nie zejdzie czysta siła ze swych wyżyn, a nasze pocałunki i owe godziny nieużyteczne nie dorzucą nic do rzeczywistych pocałunków i godzin naszego życia...

Czasami przeznaczenie zamyka oczy, ale dobrze wie, że wrócimy do niego zanim wieczór nadejdzie i, że ono musi mieć ostatnie słowo. Może ono zamknąć oczy, ale czas, kiedy będzie miało je zamknięte, jest czasem straconym...

Zdaje się, że kobieta więcej od nas podlega przeznaczeniu. Poddaje mu się z większą prostotą i nigdy szczerze z niem nie walczy. Bliższą jest bogów i bez zastrzeżeń poddaje się czystemu działaniu tajemniczości. I dla tego zapewne wszystkie wypadki, w których kobieta miesza się do życia naszego, zdają się sprowadzać nas do czegoś, co bardzo jest podobnem do źródeł Przeznaczenia. W jej towarzystwie przeważnie mamy owe chwile „jasnego przeczucia“ życia, które nie zawsze jest równoległe z życiem pozornem. Ona często otwiera nam podwoje naszej własnej istoty. Kto wie, czy bohaterowie nie w owej to chwili głębokiej, gdy usypiali na jej łonie, uczuwali wielkość swej siły i wierność swojej gwiazdy, i czy człowiek, który nie spoczął ni-

gdy na sercu kobiety, miał kiedykolwiek silne poczucie przeszłości?

Wstępujemy raz jeszcze w zmacone koła naszej świadomości wyższej. Ach, jak to jest prawdziwe, że tu także „tak zwana psychologia jest jedną z tych larw, które przywłaszczają sobie miejsca w sanktuarium, przeznaczone dla prawdziwych obrazów bożych!“ Bo nie zawsze idzie o powierzchnię, nie idzie nawet o najpoważniejsze myśli ukryte. Czy sądzicie, że w miłości są tylko myśli, czyny i słowa i że dusze nigdy nie opuszczają więzienia swego? Po co mi wiedzieć, czy ta, którą ściskam dzisiaj, jest zazdrosną, wierną, uśmiechniętą lub smutną, szczerą albo chytrą? Czy mniemacie, że te maluczkie, liche słówka wdzierają się aż na szczyty, kędy przebywają dusze nasze i gdzie w ciszy spełnia się nasze przeznaczenie? Cóż mię obchodzi, czy kochanka moja mówi o deszczu, czy o klejnotach, o piórach czy o igłach, lub nawet wydaje się, jakby mię wcale nie rozumiała? Sądzicie, że pragnę wzniosłego słowa, skoro odczuwam, że dusza spogląda mi w duszę i że nie wiem, iż najwznioślejsze myśli nie mają prawa podnieść głowy w obec tajemnic? Jestem ciągle nad brzegiem oceanu; gdybym był Platonem, Pascalem albo Michałem Aniołem, a kochanka mówiła mi o swoich zausznicach, wszystko, cobym ja jej

powiedział, wszystko coby ona mi powiedziała, pływałyby jednakowo na głębokościach wewnętrznego morza, tego morza, które oboje zgłębiamy w sobie wzajemnie. Moja myśl najszczytniejsza nie zaważy więcej na szali życia lub miłości jak trzy drobne słówka, wyrzeczone przez to dziecko mię kochające, kiedy mi mówi o swym pierścionku srebrnym, o naszyjniku z pereł, lub o kawałkach szkła...

To my nic nie pojmujemy, przebywamy bowiem ciągle na nizinach naszej inteligencji. Wstąpmy choćby tylko do pierwszych śniegów szczytu, a wszystkie nierówności znikną pod oczyszczającą dłoń otwierającego się widnokregu. Jakaż jest wówczas różnica między słowami Marka Aureliusza i zdaniem dziecka, które stwierdza, że jest zimno? Bądźmy pokorni i umiejmy odróżnić zdarzenie od istoty rzeczy. Niech „drzazgi pływające po powierzchni“ nie dadzą nam zapomnieć bezdennych głębi przepaści. Myśli najpiękniejsze, jak i najniższe pojęcia nie są w stanie zakłócić odwiecznego wyglądu naszej duszy, jak Himalaje lub przepaści nie zmieniają wyglądu naszej ziemi z wysokości ciał niebieskich. Jedno spojrzenie, jeden pocałunek, pewność niewidzialnej a silnej obecności — i wszystko jest powiedziane, wiem, że się znajduję u boku mnie równej...

Ale ta równa naprawdę jest dziwna i zachwycająca; a z chwilą, gdy nas pokochała, najostatniejsza z dziewcząt posiada coś, czego my nie mamy nigdy, bo w pojęciu jej miłość jest zawsze wieczną. Czy dla tego, że wszystkie złączone są z pierwotnymi potęgami zapomocą stosunków, które nam są wzbronione? Najlepsi z nas znajdują się prawie zawsze na ogromnej odległości od swoich skarbów z drugiego obwodu; a kiedy jakaś uroczysta chwila zażąda klejnotu z tego skarbcza, już nie pomną ścieżek, które doń wiodły i daremnie ofiarują fałszywe skarby swej inteligencji tej chwili wspaniałej, nie myślącej się nigdy. Ale kobieta nie zapomina nigdy drogi do swego środowiska i gdziekolwiek ją zastaną, w przepychu czy w nędzy, w nieświadomości czy wiedzy, w upadku czy sławie, niech tylko szepnę jej słówko, które istotnie pochodzi z dziewiczych głębi mojej duszy, wnet odnajdzie tajemną dróżkę, której nigdy z oczu nie traciła i bez wahania wydobędzie dla mnie z niewyczerpanych zapasów miłości słowo, spojrzenie lub gest, zarówno czyste jak moje. Rzeczy można, że ona zawsze duszę swą trzyma w swem ręku, że dniem i nocą gotowa jest odpowiedzieć najwznioślejszym wymogom drugiej duszy; a danina najbiedniejszej nie różni się od daniny królowej...

Zbliżajmy się ze czią do najnędnieszyc i najdumniejszych, do roztargnionych i zamyślonych, do tych, które jeszcze się nie śmieją i do tych, które już płaczą, bo znają rzeczy, o których my¹ wcale nie wiemy i posiadają pochodnię, którą my zatraciliśmy. Mieszkają one u stóp nieuniknionego i lepiej od nas znają jego drogi tajemne. I dla tego to mają wielką pewność i zachwycającą powagę i znać, że w najmniejszych czynach czują się być podtrzymane pewnemi i silnemi dłońmi wielkich bogów. Zapewniałem przed chwilą, że przybliżają nas do wrót naszej istoty, i zaprawdę można byłoby wierzyć, że wszelkie z niemi stosunki mają miejsce u tych uchylonych drzwi pierwotnych, w szepcach niezrozumiałych, które istniały zapewne przy narodzinach rzeczy, wówczas kiedy mówiono półgłosem z obawy, aby nie usłyszeć zakazu albo niespodzianego rozkazu...

Nie przekroczy ona progu tych drzwi, czeka nas ze strony wewnętrznej, tam, kędy źródła biją. A kiedy zapukamy z zewnątrz, w chwili, gdy nam otwiera, ręka jej nigdy nie opuszcza klucza ani odrzwi. Patrzy przez chwilę na posłańca i w tym krótkim mgnieniu oka dowie się wszystkiego, co trzeba jej wiedzieć, a przyszłe lata zadrzą aż po koniec wieków... Któż wypowie, co zawiera w sobie pierwsze wejrzenie mi-

łości, „ta laska czarnoksięska, utworzona z przełamane go promienia światła“, promienia, który przyszedł z wiecznego ogniska naszej istoty, przeistoczył dwie dusze i o dwadzieścia wieków je odmłodził? Drzwi zamykają się jeszcze lub otwierają; lecz nie starajcie się o nic, bo wszystko już rozstrzygnięte. Ona wie o tem. Nie będzie was pytała o wasze czyny, wasze słowa, myśli wasze; jeśli czuwa jeszcze nad niemi, to czyni to z uśmiechem; i odrzuci bezwiednie to wszystko, co nie potwierdzi jej pewności pierwszego spojrzenia. A jeśli chcecie w błąd ją wprowadzić, wiedźcie, że będzie miała słusność wbrew wam samym, i że sami jedynie będziecie w błędzie, bo bardziej jesteście tem, czem jesteście w jej oczach, niż czem sądzicie się być we własnej duszy, nawet wówczas, kiedy się myli ciągle co do waszego uśmiechu, gestu lub lzy...

Skarby ukryte, nie mające nawet imienia!... Chciałbym, aby ci wszyscy, którzy dowodzą, że one są złe, wyjawili to nam, składając swoje dowody, a jeśli będą głębokie, zadziwimy się i dalej zajdziemy w tajemnicę. Są one zakwestionem i siostrami wszystkich wielkich rzeczy niewidzialnych. Są one zaprawdę najbliższymi krewnymi otaczającej nas nieskończoności i one tylko umieją jeszcze uśmiechać się do niej z wdzięczną swobodą dziecka, nie czującego obawy przed

ojcem. Przechowują tutaj na ziemi niby niebieską zabawkę bezużyteczną, czystą sól waszej duszy, a jeśliby od nas odeszły, duch boży panowałby sam na pustyni. One czują jeszcze boskie wzruszenia pierwszych dni, a korzenie ich sięgają o wiele prościej niż nasze we wszystko, co granic nie ma. Żałuję zaprawdę ludzi, co uskarżają się na nie, bo nie znają, na jakich wyżynach żyją prawdziwe pocałunki. Lecz gdy się patrzy na ich powierzchnię, jak wydają się być bez znaczenia! Mężczyźni widzą je w głębi ich mieszkań: ta się pochyla nad czemś, tamta łka, ta znów śpiewa, tamta wreszcie haftuje; lecz żaden nie pojmie co czynią!... Przychodzą je odwiedzić, jak się odwiedza uśmiechnięte rzeczy; przybliżają się do nich z ciekawością, lecz dusza wejdzie tylko przy wielkich wypadkach. Badają je nieufnie; a one nic im nie mówią, bo już wiedzą wszystko, więc tamci odchodzą wzruszając ramionami, przekonani, że one ich nie zrozumiały...

„Lecz cóż one mają zrozumieć, odpowiada nam poeta, który zawsze ma słuszność, coż one mają rozumieć, te dusze najszcześniejsze, które lepszą cząstkę wybrały; czyste, jak płomień miłości na tym ziemskim świecie, jaśnieją na szczytach świątyń lub na wierzchołku błędzących okrętów, jak znak niebieskiego ognia, napełniającego wszy-

stko. Często bardzo te dzieci kochające podpatrują w świętych godzinach tajemnice natury i z bezwiedną genialnością nam je odsłaniają. Uczony idzie ich śladem i zbiera wszystkie klejnoty, jakie w niewinności swej i radości rozsypały do drogach. Poeta, który czuje, co one czują, składa dziękczynienie za ich miłość i stara się tę miłość, posiew złotego wieku, pieśniami swemi przesadzić w inne czasy, w inne krainy“.

To, co tu poeta powiedział o mistykach, odnosi się przedewszystkiem do kobiet, które przechowały nam aż dotąd mistycznego ducha na ziemi.

RUYSBROECK PRZEDZIWNY.



ciśle biorąc, wiele jest dzieł piękniejszych niż ta książka Ruysbroecka. Wielu mistyków przemawia skuteczniej i stosowniej, naprzykład Swedenborg lub Novalis. Pisma Ruysbroecka prawdopodobnie niekiedy tylko odpowiadają potrzebom dnia dzisiejszego. Prócz tego mało jest autorów bardziej niezręcznych; nieraz zapuszcza się w dziwne dzieciństwa; a dwadzieścia pierwszych rozdziałów z jego Ozdób zaślubin duchowych, chociaż może jest wstępem potrzebnym, niemniej zawierają w sobie zwykłe blade, pocziwe ustępy. Na zewnątrz nie można znaleźć tam żadnego porządku, żadnej logiki scholastycznej. Autor często się powtarza, niekiedy zdaje się przeczyć sam sobie. Łączy w sobie nieświadomość dziecka z wiedzą kogoś takiego, któryby wrócił z zaświata. Ma jakąś składnię tetaniczną, nad którą nie jeden raz oblewałem się potem. Zarysowuje jakiś obraz i zaraz zapomina o nim. Używa nawet pewnej ilości obrazów, niedających się urzeczywistnić; i to zjawisko tak anormalne w utworze głębokiej wiary da się wytłumaczyć jedynie niezręcznością i niezwykłym pośpiechem.

Nie zna po większej części sztucznych zwrotów mowy, a potrafi mówić jedynie o niewyraźnym. Nie zna żadnych prawie przywyknień, zwrotów i pomocniczych środków myśli filozoficznej; zmuszony jest myśleć tylko o nieujętem myśłą. Kiedy nam opowiada o swoim ogródku klasztornym, doznaje pewnej trudności w wyrażeniu tego, co się tam dzieje; pisze wówczas jak małe dziecko. Lecz jeśli powźmie zamiar poświęcić nas, co się dzieje w Bóstwie, wówczas daje nam karty, którychby Platon nie napisał. Wszędy napotyka się potworna nieproporcjonalność między wiedzą i niewiedzą, między siłą i pożądaniem. Nie należy tu oczekiwać dzieła literackiego; nie dostrzeżecie tu nic więcej, jak konwulsyjny wzlot nad śnieżne wyżyny pijanego orła ośleptego i okrwawionego. Dodam ostatnie słowo w rodzaju braterskiego ostrzeżenia.

Zdarzyło mi się czytać dzieła, które uchodzą za niedocieczone; na przykład Uczniowie z Saïś, Fragmenty Novalisa; *Biographia litteraria* i *Przyjaciel* Samuela Taylor Coleridgea; *Tymeusz Platona*, *Enneady Plotyna*; *Boskie imiona Saint Dénysa Areopagity*; *Aurora* wielkiego mistyka niemieckiego Jakóba Boëhma, z którym nasz autor niejedno ma podobieństwo. Nie śmiem powiedzieć, że dzieła Ruysbroeka

bardziej są niedociekłe niż te utwory; wszakże mniej się mu wybacza zawilość, ponieważ chodzi tu o nieznaną, do którego z góry nie mamy zaufania. Zdawało mi się rzeczą niezbędną przestrzedz laików, przestępujących próg tej świątyni bez architektury; niniejsze bowiem objaśnienie przedsięwziętem zostało jedynie dla zadowolenia nie wielu platonistów. Sądzę, że ci, którzy nie byli w zażyłości z Platonem lub neoplatonikami Aleksandryi nie znajdą daleko w tej literaturze. Będzie im się zdawało, że wchodzą w próżnię; doznają wrażenia bezwzględnego pograżania się w przepaść bezdenną, wśród skał czarnych i ślizkich. Niema w tej książce powietrza ani światła zwykłego; dla nieprzygotowanych duchowy pobyt jest tam niemożliwym. Nie należy tam wchodzić przez ciekawość literacką; nie będzie tam wcale eleganckich spręcików; botanicy obrazów nie znajdą tam kwiatów, tak jakby ich nie znaleźli na podbiegunowych łąwach lodowych. Ostrzegłem, że jest to bezgraniczna pustynia, na której umrą z pragnienia. Zbyt mało znajdą tam frazesów, które można byłoby wziąć do rąk, pieścić się nimi, jak to czynią literaci; tam są tylko wytryski płomienia lub bryły lodu. Nie szukajcie róż w Islandyi. Może między dwoma lodowymi szczytami czeka jakiś kielich kwiatu; zdarzają się tam istotnie szczególniejsze wybu-

chy, zwroty retoryczne niesłychane — lecz nie wynagrodzą czasu straconego na to, aby przyjść po nie z tak daleka. Ażeby tu wejść należy znajdować się w stanie filozoficznym, tak różnym od zwykłego stanu, jak czuwanie różni się od snu. Profiryusz w swoich „Zasadach teorii poznawalnego“ napisał przestrożę prawdopodobnie najodpowiedniejszą do umieszczenia jej na czele dzieła Ruysbroecka: „przez inteligencję wyrażamy wiele rzeczy o zasadzie, która jest wyższą nad inteligencję; wszakże intuicję jej posiada się o wiele lepiej przez brak myśli niż przez myśl samą. Z ideą tą jest jak z ideą snu. W stanie czuwania mówi się o nim tylko do pewnej granicy, lecz należytą znajomość i pojęcie snu nabiera się jedynie w czasie samego snu. W istocie, podobne poznajemy tylko przez podobne i warunkiem jest każdej wiedzy, ażeby podmiot podobny był do swego przedmiotu“.

Powtarzam raz jeszcze: bez przygotowania trudno jest pojąć książkę Ruysbroecką; sądzę nawet, że mimo studyów przygotowawczych większa część tego mistycyzmu wyda się nam czysto teoretyczną i że większość owych doświadczeń z psychologii naturalnej będzie nam dostępną tylko jako widzom. Wyobraźnia filozoficzna jest zdolnością, która rozwija się bardzo powoli. Znajdziemy się tu nagle na krańcach myśli ludz-

kiej, daleko poza kołem polarnem umysłu. Jest tu ogromnie zimno; jest tu ogromnie ciemno; a jednak znajdziecie tu tylko płomienie i światło. Ale dla tych, którzy wchodzą tu nie wdroywszy swej duszy do tych nowych percepcyj, to światło i te płomienie będą tak ciemne i chłodne, jak gdyby były namalowanemi. Idzie tu o najściślejszą z nauk; należy przejść najnieodstępniejsze i najbardziej niezamieszkałe przyładki boskiego „poznaj samego siebie“, gdzie słońce północy króluje nad rozfalowanym morzem, gdzie psychologia człowieka spływa się z psychologią Boga. Należy ciągle o tem myśleć; chodzi tu o naukę bardzo głęboką, nie chodzi tu o żaden sen. Sny nie są jednakie; sny nie mają korzeni; podczas gdy rozpalony do białości kwiat boskiej metafizyki tu rozkwitający ma swe tajemnicze korzenie w Persyi, w Indyach, w Egipcie i w Grecyi. A jednak zdaje się być nieświadomą siebie, jak kwiat, i nic nie wie o swoich korzeniach. Na nieszczęście, niemal niemożliwością jest dla nas stanąć w położeniu duszy, któraby bez wysiłku pojęła tę naukę; nie możemy ją spostrzedz „ab intra“ i odtworzyć ją w nas samych. Braknie nam tego, co Emerson nazwałby „własną samorzutnością wewnętrzną“. Nie możemy przerabiać tych idei na treść naszą własną; co najwyżej zdołamy odczuć z zewnątrz

te cudowne doświadczenia, które na przeciąg trwania jednego systemu planetarnego są udziałem tylko bardzo małej ilości dusz. „Nie słuszna jest, mówi Plotyn, badać, skąd pochodzi ta wiedza intuicyjna; nie jest ona zależna od miejsca lub ruchu; to się nie zbliża stąd, ani przychodzi stamtąd, aby pójść dalej; lecz albo się zjawia, albo się nie zjawia. Dlatego też nie trzeba śledzić tajemniczych źródeł pochodzenia; lecz należy oczekiwać w ciszy aż nagle błysnie przed nami; a jednocześnie przygotowywać się do tego świętego widoku, jak to czyni oko, które oczekuje cierpliwie wschodu słońca“. A gdzieindziej dodaje: „Nie przez wyobraźnię i nie przez rozumowanie, które samo skąd inąd czerpie swe zasady, tworzymy sobie pojęcie o nadrzeczywistem (to jest o tem, co jest nad nami wysoko), lecz jedynie przez zdolność kontemplacyi, zdolność, która nam pozwala mówić o niem tu, na ziemi. Więc widzimy je, budząc w nas, tu, na ziemi, tę samą moc, którą powinniśmy rozbudzić w sobie, kiedy jesteśmy w świecie nadrzeczywistym. Podobni jesteśmy do człowieka, który wstępując na wierzchołek skały dostrzegłby przedmioty, niewidzialne dla tych, którzy z nim razem nie weszli“. Ale chociażby wszystkie istoty, od kamienia i rośliny do człowieka, były kontemplacją, to kontemplacja ta byłaby bezwie-

dną, i nader jest nam trudno wynaleść w sobie wspomnienie czynności dawnej, owych martwych mocy. Jesteśmy w tem podobni do oka w obrazie neo-platońskim: „oko się oddala od światła, aby zobaczyć ciemność i właśnie dla tego nie widzi; bo ze światłem, nie może widzieć ciemności, a jednak bez światła nie widzi; tym sposobem, nie widząc, widzi ciemność o tyle, o ile zdolnem jest ją widzieć“.

Znam sąd, który większość ludzi wypowie o tej książce. Dopatrzą w niej dzieła mnicha podległego halucynacyom, dzikiego samotnika, pustelnika pijanego postem i pożeranego gorączką. Ujrzą tam sen niezwykle a czarny, przeżywany wielkimi „błyskawicami, i nic więcej.

Takie pojęcie ma się zwykle o mistykach i zapomina się nazbyt często, że cała pewność jest w nich samych. Zresztą, jeśli to prawda, co mówią, że każdy człowiek jest w swych snach Szekspirem, trzebabyłoby spytać, czy każdy człowiek w swem życiu nie jest niesformułowanym mistykiem, tysiąc razy bardziej transcendentalnym, niż ci wszyscy, którzy są skrępowani przez słowo. Jaka jest czynność człowieka, którego ostatni ruch nie jest mistycznym? A oko kochanki lub matki naprzykład, nie jestże tysiąc razy bardziej zagadkowe, bardziej nieprzeniknione i bardziej mistyczne niż ta książka, w każdym razie biedna,

zrozumiała, tak jak wszystkie książki, które są niczem więcej, jak umarłymi tajemnicami, których horyzont już się nie odnawia? Jeśli nie rozumiemy tego, to może nic nie rozumiemy. Ale, wracając do naszego autora, nie jeden dostrzeże bez trudu, iż nie będąc wcale pożerany przez głód, samotność i gorączkę, ten mnich posiadał przeciwnie jeden z najbardziej mądrych, najbardziej subtelnych, najbardziej ścisłych organów filozoficznych, jakie kiedykolwiek istniały. Powiedzą nam, iż żył w swej chatce w Groenendoelu, w głębi lasów Soignes, i było to u wejścia do jednego z najdzikszych, średniowiecznych stuleci, do wieku czternastego. Nie znał greckiego języka, może nawet nie znał łaciny. Był samotny i biedny.

A jednak w głębi tego ciemnego lasu brabanckiego, dusza jego prosta i nieświadoma, odbijała, nie wiedząc o tem, olśniewające odbłaski wszystkich samotnych i tajemniczych szczytów myśli ludzkiej. Znal, nie wiedząc o tem, plato-nizm Grecyi; umiał składnię Persyi, braminizm Indyi i budyzm Tybetu; a jego cudowna nieświadomość odnajduje mądrość wieków pogrzebanych i przewiduje wiedzę wieków, które jeszcze nie przyszły. Mógłbym przytoczyć całe stronicy Platona, Plotyna, Porfiryusza, księgi Zendy, Gnostyków i Kabały, których cudowna treść

mieści się nienaruszona w pismach skromnego księdza flamandzkiego. Są tu dziwne styczne i niepokojące sprzeczności. Jest więcej, wydaje się chwilami, jakby się domyślał większej części swoich nieznanych poprzedników; jak Plotyn, który rozpoczyna trudną swą drogę na tym rozstaju, kędy Platon tknięty przerażeniem zatrzymał się i upadł na kolana, — tak i Ruysbroeck, można byłoby powiedzieć, rozbudził po kilkuwiekowym spoczynku ten rodzaj, nie myśli, bo ten rodzaj myśli nie usypia nigdy, lecz ten rodzaj słowa, które usnęło na szczytach, kędy je Plotyn olśniony opuścił, zakrywając oczy rękami, jak przed widokiem niezmiernego pożaru.

Lecz organizm ich myśli dziwnie się różni. Platon i Plotyn są przedewszystkiem królami dyalektyki. Dochodzą do mistycyzmu przez umiejętność rozumowania. Robią użytek ze swej duszy rozprawiającej i zdają się nie ufać duszy swej intuicyjnej i kontemplacyjnej. Rozumowanie odbija się w zwierciadle rozumowania i stara się pozostać obojętnem na wtargnięcie wszelkich innych refleksów. Płynie swoją drogą jak rzeka słodkiej wody pośród morza, z przecuciem bliskiego w niem rozpląnięcia się. Tu zaś przeciwnie, odnajdujemy nawyk myśli azyatyckiej: dusza intuicyjna panuje wysoko ponad dyale-

ktycznym oczyszczaniem się idei przez słowa. Więzy snu opadły. Jestże to mniej pewnem? Niktby nie umiał tego powiedzieć. Zwierciadło inteligencji ludzkiej pozostaje w tej książce zupełnie nieznanem; lecz istnieje inne zwierciadło ciemniejsze i głębsze, które ukrywamy w najskrytszym zakątku naszej istoty; żaden szczegół nie odbija się w niem wyraźnie i słowa nie mogą się utrzymać na jego powierzchni; inteligencya, gdyby chociaż chwilę chciała się w niem przegłębiać, rozbiłaby je swoim światłem prostaczem. A jednak coś innego odbija się w tem zwierciadle; jestże to dusza? czy sam Bóg? Czy jedno i drugie zarazem? Nigdy nie dowiemy się o tem; a jednak zjawiska te, prawie niewidzialne są jedynymi i istotnymi władcami życia, nawet dla tych, którzy najmniej wierzą i najbardziej są z nas ślepi. Dają się tu spostrzegać ustawicznie ciemne przebłyski tego zwierciadła; skarbiec ich niewyczerpany i wcale nie są podobne do żadnego z refleksów, jakie odczuwamy w nas samych; a mimo to ich pewność siebie jest zdumiewająca. I dlatego to właśnie nie znam nic straszniejszego, jak ta książka, pełna dobrej wiary w siebie. Nie bywa takiej wzmianki psychologicznej, takiego doświadczenia metafizycznego, takiej intuicyi mistycznej, zawiłej, głębokiej, niesłychanej, jak tylko być mogą.

abyśmy nie zdołali, jeśli zajdzie potrzeba, odtworzyć je, kazać im żyć przez chwilę w nas samych, aby się przekonać o ich ludzkiej z nami tożsamości; ale tutaj jesteście podobni do ośleplęgo ojca, który nie może przypomnieć sobie twarzy swoich dzieci. Żadne z tych myśli nie ma synowskiego albo braterskiego wyglądu myśli ziemskiej; zdawałoby się, żeśmy postradali odczucie Boga; a jednak wszystko nam świadczy, że nie wstąpiliśmy do przybytku snów. Czyż mamy wykrzyknąć z Novalisem, że minął czas, kiedy duch Boży był rozumiały i myśl świata na zawsze jest utracona? Że niegdyś wszystko było objawieniem Ducha, a dzisiaj dostrzegamy tylko martwe odbłaski, których nie rozumiemy, i że używamy wyłącznie z owoców lepszych czasów?

Sądzę, iż musimy przyznać pokornie, że klucz od tej książki nie leży na zwykłych drogach ludzkiego umysłu. Klucz ten nie jest przeznaczony do drzwi ziemskich i trzeba nań zasłużyć, oddalając się od ziemi, jak można najwięcej. Jedynego przewodnika spotykamy jeszcze na tych samotnych rozstajach i on jeden może nam dać ostatnie wskazówki względem tych tajemniczych wysp ognia, tych Islandyi abstrakcyi i miłości; jest nim Plotyn; starał się on zanalizować mocą inteligencji ludzkiej potęgę boską, która tu pa-

nuje. Przeżył on to, co oznaczamy słowem, które nic nie tłumaczy, te ekstazy, które w gruncie rzeczy są tylko początkiem zupełnego odsłonięcia naszej istoty; a w pośród ich niepokojów i ich ciemności nie zamknął na chwilę badawczego oka psychologa, usiłującego zdać sobie sprawę z najdrobniejszego ruchu swojej duszy. Jest on zatem ostatnią tamą, z której wierzchołka możemy nieco rozpoznać horyzont i fale tego morza ciemnego. Stara się on przedłużyć ścieżki inteligencji zwykłej aż w samą głąb tych spustoszeń i musimy bezustannie do niego zawracać, bo jest jedynym mistykiem, analitykiem. Tym, których kuszą te cudowne wycieczki, chcę tu przytoczyć jedną ze stronic, gdzie starał się objaśnić organizm tej boskiej zdolności introspekcyi.

„W intuicyi intelektualnej — mówi — umysł widzi przedmioty nadzmysłowe, za pomocą światła, które Pra-jedyny rozciągnął nad niemi, a widząc te przedmioty, widzi istotnie światło nadzmysłowe. Ale w chwili, kiedy ześrodkowuje uwagę na przedmioty oświetlone, nie widzi dość wyraźnie zasady, która je oświeca; jeśli zaś przeciwnie, zapomina o przedmiotach, które ogląda, aby podziwiać światło czyniące je widzialnymi, widzi wówczas światło same i zasadę światła. Ale umysł nie poza sobą samym podziwia świa-

tło nadzmysłowe. Podobnym jest wówczas do oka, które nie rozróżniając światła zewnętrznego i obcego, nie spostrzegając go nawet jeszcze, nagle czuje się być uderzonym jasnością, sobie samemu właściwą, lub promieniem, które wytryska z niego samego i błysnie w głębi ciemności; jest to tak samo, jak kiedy oko zamyka powieki, aby nie widzieć obcych przedmiotów i snuje światło z samego siebie lub przyciśnięte ręką, spostrzega światło, które ma w sobie. Wówczas, nie widząc nic zewnętrznego, widzi; widzi nawet więcej niż kiedy indziej, bo widzi światło. Przedmioty inne, które oko widzi pierwszej, chociaż były oświetlone, nie były światłem samem. Tak samo umysł ludzki, kiedy zamyka oczy na przedmioty uboczne, kiedy skupia się sam w sobie, nie widząc nic, spostrzega nie światło obce, które błyszczy na obcych formach, lecz własne swoje światło, które nagle wybłyśnie w jego wnętrzu najczystsza jasnością“.

„Trzeba — mówi nam jeszcze — ażeby dusza, która studyuje Boga, starając się go poznać, wytworzyła sobie o Nim pojęcie; trzeba później, ażeby wiedząc z jak wielką potęgą pragnie się połączyć i będąc przekonaną, że znajdzie błogość w tem połączeniu, zanurzyła się w głębokościach bóstwa tak dalece, iżby zamiast rozważać siebie, rozważać świat zrozumiąły, stała się

sama przedmiotem rozważania i zajaśniała światłem koncepcyi, które mają swe źródło w wyżynach“.

Jest to niemal wszystko, co mądrość ludzka może nam tu powiedzieć; jest to prawie wszystko, co książkę metafizyki transcendentalnej mógł wyrazić; co do dalszych wyjaśnień, to musimy je znaleźć w nas samych, w głębokościach, gdzie każde wyjaśnienie ginie w swoim wyrazie. Bo to nie tylko w niebie i na ziemi, to przede wszystkim w nas samych jest więcej rzeczy, niż mogą zawierać wszystkie filozofie i jak tylko nie jesteśmy zmuszeni formułować co jest w nas tajemniczego, jesteśmy głębsi niż to wszystko, co było napisane i więksi niż wszystko, co istnieje.

A teraz, jeśli wyłożyłem to wszystko, to jedynie dla tego, iż sędzę, że pisma mistyczne są najczystszyimi brylantami cudownego skarbu ludzkości; chociaż tłumaczenie może jest zbyt te cznym, bo doświadczenie zdaje się mówić, że nie zależy na tem zbyt wiele, czy tajemnica wcielenia się myśli dokonywa się w świetle czy w ciemnościach. Lecz jakby tam było, prawdy mistyczne mają nad prawdami zwykłemi dziwny przywilej; one nie mogą ani zestarzeć się, ani umrzeć. Niema takiej prawdy, któraby nigdyś pewnego poranku nie zstąpiła na świat,

czarująca w swej sile i młodości, pokryta świeżą, przepyszną rosą, właściwą rzeczom, które jeszcze nie były wymówione. Przebiegnijcie dzisiaj wszystkie infirmarye chorób ludzkiej duszy, gdzie one wszystkie, jedna po drugiej umierają co dzień, między niemi nie znajdziecie nigdy ani jednej myśli mistycznej. Posiadają one przywilej aniołów Swadenborga, którzy zbliżają się ciągle do wiosny swojej młodości, tak że najstarsi aniołowie wydają się być najmłodszymi; i czy prawdy te pochodzą z Indyi, z Grecyi czy Północy, nie mają ojczyzny, ani daty, i wszędzie, gdzie je spotykamy, zdają się być nieruchome i czynne jak sam Bóg. Każde dzieło starsze się w miarę swego antymistycyzmu; i dla tego też książka Ruysbroecka nie nosi żadnej daty. Wiem, że jest ona anormalnie ciemna, lecz myślę, że każdy szczerzy autor dobrej wiary nie jest nigdy ciemnym, w wiecznem znaczeniu tego słowa, ponieważ zawsze rozumie sam siebie i to nieskończenie więcej ponad to, co wypowiedział. Jedynie sztuczne idee wznoszą się w rzeczywistych ciemnościach i prosperują tylko w pewnych epokach literackich i w złej wierze wieków zbyt pewnych siebie, kiedy myśl pisarza przebywa w tem, co wyraża słowami. Tam, był to życiodajny cień lasu, tutaj jest ciemność piwnicy, gdzie lęgną się tylko ciemne pasożyty.

Trzeba też zdawać sprawę z owego świata nieznanego, rozświeconego własnymi jego zdaniem przez podwójne, nędzne szybki rogowe, utworzone ze słów i myśli. Słowa, jak to nam wskazano, zostały wymyślone do zwykłego użytku życia; są one nieszczęśliwe, zaniepokojone, zdziwione — jak włóczęgi dokoła tronu, jeśli jakaś dusza królewska wyprowadza je od czasu do czasu na zewnątrz. A z drugiej strony, czy myśl nie jest wiernym obrazem czegoś, nie wiem czego, co ją zrodziło, i czy nie widzimy w niej zawsze cienia tej walki, jaką staczał Jakób z aniołem, niejasnej co do postaci duszy i anioła? Biada nam, mówi Carlyle, jeśli nie mamy w sobie nic ponad to, co możemy wyrazić i okazać! Wiem, że na stronicach tej książki leży cień przedmiotów, o których nie przypominamy sobie, abyśmy je widzieli (którymi jednak mnich nie waha się posługiwać) które poznamy wówczas tylko, gdy je zobaczymy po drugiej stronie życia; tu zaś mogliśmy je oglądać z daleka, a to już jest wiele. Wiem jeszcze, że niektóre z tych frazesów, jak przezroczyste odłamy lodu pływają na bezbarwnem morzu ciszy; ale one istnieją, oddzieliły się od wód — i tego już dosyć. Wiem nakoniec, że te dziwne rośliny, które autor uprawiał na szczytach ducha, otoczone są szczególnymi chmurami; lecz te chmury są tylko

dla tych, którzy patrzą z dołu; a jeśli ma kto odwagę wstąpić na wyżyny, to spostrzeże, że stanowią one wyłączną atmosferę roślin, jedyną, w której te rośliny krzewić się mogą pod osłoną niebytu. Bo roślinność ta jest tak subtelna, że się zaledwo wyróżnia od ciszy, z której ciągnie swe soki i w której pragnie się rozpląnąć. Zresztą, całe to dzieło jest niby szkło powiększające, stosowane do ciemności i ciszy; niekiedy nie rozróżnia się bezpośrednio zarysów idei, która tonie w niem jeszcze. Chwilami przebłyśka tu niewidzialne i potrzeba niezbędnie wytężonej uwagi, aby pochwycić te zwroty. Książka ta nie jest zbyt od nas daleka, prawdopodobnie znajduje się w samym środku naszego człowieczeństwa; ale to my jesteśmy od niej oddaleni; jeśli się nam wyda odstrasżająca, jak pustynia, jeśli ucisk boskiej miłości jest w niej zbyt ciężkim a pragnienie szczytów zbyt męczącym to nie dla tego, że utwór ten jest za stary, lecz że my raczej może jesteśmy nazbyt smutni, starzy i zniechęceni, niby starcy zgromadzeni dokoła dziecięcia, i Plotyn, wielki mistyk pogański, ma prawdopodobnie słuszność, kiedy mówi do tych, co się skarżą, że nic nie widzą na wyżynach introspekcyi: „Należy najpierw organ spoglądania upodobnić do przedmiotu, który ma być rozglądany. Nigdyby oko nie spostrzegło słońca,

gdyby pierwiej nie przyjęło kształtu słońca; tak samo dusza nie zdoła widzieć piękna, jeśli sama wpierw nie stanie się piękną, i każdy człowiek powinien zacząć od usiłowania, stać się pięknym i boskim, aby osiągnąć możność widzenia piękna i boskości“.

EMERSON.



edna rzecz jest ważna, mówi Novalis, to poszukiwanie naszego ja transcendentalnego. To „ja“ spotykamy niekiedy w słowach Boga, w słowach poetów i mędrców, w głębi niektórych radości i niektórych boleści, we śnie, miłości, chorobach, w nadzwyczajnym zbiegu wypadków; daje nam ono znaki zdaleka i ukazuje palcem na nasze stosunki z wszechświatem. Niektórzy mędrzy oddawali się jedynie takiemu poszukiwaniu i pisali książki, w których wszechwładnie panuje nadzwyczajność. „Cóż jest ważnego w książkach, mówi nasz autor, jeśli nie transcendentalne i nadzwyczajne“. Byli to jakby malarze, usiłujący uchwycić podobieństwo w ciemnościach. Jedni tworzyli obrazy abstrakcyjne, wielkie, prawie niewyraźne. Inni dochodzili do pochwycenia pewnego stanu lub ruchu, właściwego życiu wyższemu. Niektórzy fantazyowali istoty nadzwyczajne. Niewiele jest takich obrazów. A nigdy nie są z sobą podobne. Niektóre są bardzo piękne, i ci, którzy ich nie widzieli, podobni są przez całe swe życie do ludzi, którzy nie wychodzili nigdy z domu w samo południe.

W obrazach tych znajdują się linie czystsze, niż linie nieba, a postacie wydają się tak oddalone, że nie wiemy, czy są żyjące, czy odmalowane z nas samych. Są one dziełem czystych mistyków, i człowiek jeszcze w nich nie poznaje siebie. Inni, których nazywamy poetami, wspominali nam o tych rzeczach ubocznie. Inni jeszcze, trzecia klasa myślicieli, podnosząc na wyższy stopień stary myt o centaurach, odtworzyli nam z tej identyczności tajemniczej obraz bardziej przystępny, mieszając linie naszego ja widomego z liniami naszego ja wyższego. Oblicze naszej duszy boskiej uśmiecha się tam niekiedy z za ramienia swej siostry, duszy człowieczej, pochylonej ku drobnym wysiłkom myśli, i ten uśmiech, ukazujący nam przelotnie to, co jest ponad myślą, jedynie coś wart w dziełach ludzkich.

Nie są oni liczni, ci, co nam ukazali, że człowiek jest większy i głębszy niż człowiek i tym sposobem utrwalili kilka z tych odwiecznych aluzji, które w życiu spotykamy na każdym kroku w poruszeniu, w skinieniu, w spojrzeniu, w słowie, w milczeniu i w wypadkach tych, którzy nas otaczają. Nauka wielkości ludzkiej jest najdziwniejszą z nauk. Niema człowieka, któryby jej nie posiadał, lecz nikt prawie nie wie, że ją posiada. Dziecię, które mię spotkało, nie potrafi opowiedzieć matce, co widziało,

a wszakże skoro tylko wzrok jego dotknął mej istności, już wie wszystko: czem jestem, czem byłem, czem będę — wie to tak dobrze jak mój brat, a trzy razy lepiej niż ja sam. Poznało mię natychmiast w przeszłości i w przyszłości, w tym świecie i w innych; i ze swej strony oczy jego odsłoniły mi rolę, jaką gram we wszechświecie i w wieczności. Dusze nasze już się osądziły; skoro tylko wejrzenie jego spotkało moje wejrzenie, moją twarz, moje wzięcie się i całą nieskończoność, które je otacza i której są tłumaczami — ono już wie, czego się trzymać; i chociaż nie różróznia jeszcze korony królewskiej od torby żebraczej, przez jedną chwilę znało mię tak dobrze jak sam Bóg.

Prawdą jest, że działamy już jak bogi i całe nasze życie upływa wśród niezawodnych i niezachwianych pewności. Ale jesteśmy ślepcami, którzy nad drogą bawią się drogimi kamieniami; człowiek, który zapukał do moich drzwi, w chwili powitania, obdziela mię takim przedziwnym skarbem duchowym, jakby księżę, któremu uratowałem życie. Otwieram mu — i w jednej chwili widzi on u swych nóg jakby z wierzchołka wieży, wszystko, co ma miejsce między dwiema duszami. Pytam wieśniaczkę o drogę, i oto osądzę ją w tej chwili tak głęboko, jak gdybym prosił ją o życie dla mojej matki i jej dusza

szeptce już do mnie tak poufnie, jakby dusza narzeczonej mojej. Zanim mi odpowiedziała, wzniosła się szybko w górę aż do najwyższych tajni, a potem, wiedząc już dobrze kim jestem, odpowiedziała spokojnie, że mam wziąć się na lewo dróżką ku wiosce.

Jeśli spędzę godzinę jaką wśród tłumu, osądzę wszystkich, żywych i umarłych, nie mówiąc nic, nie myśląc nawet o tem, a któryż z tych sądów zmienionym zostanie w dzień ostatni? Oto w tym pokoju znajduje się pięć lub sześć osób, mówiących o deszczu lub pogodzie; lecz ponad tą nędzną paplaniną sześć dusz wie dzie rozmowę, do której żadna mądrość ludzka bez niebezpieczeństwa zbliżyć się nie może i chociaż mówią oczyma, twarzą, rękami, całą osobowością swoją, tamci nie dowiedzą się nigdy, co dusze z sobą mówiły. A jednak muszą doczekać końca nieuchwytej rozmowy; i oto dlaczego doświadczę w swoim znudzeniu, nie wiem, jakiej tajemniczej radości, nie podejrzewając wcale, co to w nich, mimo ich wiedzy, słucha wszystkich praw życia, śmierci, miłości, które jak prądy niewysychające opływają dom ich dokoła. Jest tak z tem zawsze i wszędzie. Żyjemy tylko według naszej istoty transcendentalnej, której uczynek i myśli przebijają co chwilę otulającą ją osłonę.

Mam zobaczyć dziś przyjaciela, którego nie widziałem nigdy, lecz znam jego pracę i wiem, że dusza jego jest niezwykłą i że całe życie wykazywał ją możliwie najwierniej, według obowiązku umysłów wyższych. Jestem pełen niepokojów i jest to godzina bardzo uroczysta. Wchodzi; i wszystkie wyjaśnienia, które nam podawał w szeregu długich lat padają w proch za poruszeniem drzwi, otwierających się przed jego istotą. Nie jest tem, czem sądzi się być. Jest innej natury niż jego myśli. I tu raz jeszcze konstatujemy, że wysłańcy umysłu są zawsze omylni. Mówił o swojej duszy rzeczy bardzo głębokie, lecz w tej małej chwilce, która dzieli dwa wejrzenia: te, które się zatrzymuje, od tego, które się oddala, poznałem to wszystko, czego nigdy nie zdoła wypowiedzieć i czego nigdy w swym duchu nie zdoła powołać do życia. Odtąd należy już do mnie bezpowrotnie. Niegdyś byliśmy złączeni myślą. Dzisiaj coś tysiąc razy bardziej tajemniczego niż myśl wydaje nas sobie wzajemnie. Lata całe oczekiwaliśmy tej chwili, a oto czujemy, że wszystko jest bezużytecznem i w obawie milczenia my, którzy byliśmy nagotowani wykazać sobie skarby swoje tajemne a cudowne, prowadzimy rozmowę o wydzwianjącej godzinie, o słońcu zachodzącem, aby tylko dać czas naszym duszom podziwiać siebie i złą-

czyć się uściskiem w tem innem milczeniu, co go szmer ust i myśli nie zdoła zamącić...

W istocie, żyjemy tylko dusza z duszą i jesteśmy bogami, którzy nie wiedzą o bóstwie swoim. Jeśli dzisiejszego wieczoru nie mogę znieść samotności i zstąpię między ludzi, posłyszę od nich, że burza otrzęsła im gruszki w ogrodzie, albo że mrozy wczorajsze port zamknęły. Czyż po to przyszedłem? A jednak odejdę stąd wkrótce z duszą tak zadowoloną, pełną siły i skarbów nowych, jak gdybym całe godziny przepędzał z Platonem. Sokratesem lub Markiem Aureliuszem. To, co mówiły usta tamtych ludzi, nie zgadzało się zgoła z tem, o czem świadczyła ich istota; niemożliwem jest człowiekowi nie być wielkim i podziwienia godnym. To, co myśl myśli, nie ma żadnego znaczenia wobec tego, czem jesteśmy i co się potwierdza w milczeniu; i gdyby po pięćdziesięciu latach samotności Epiktet, Goethe i Święty Paweł przybili do mojej wyspy, nie zdołaliby mi powiedzieć więcej po nad to, co w tymże czasie, i może bardziej bezpośrednio, wyszepce drobna spieniona fala ich okrętu...

Zaprawdę, co jest najdziwniejszem w człowieku, to jego ważność i mądrość ukryta. Najlekomyślniejszy nigdy wśród nas szczerze się nie śmieje, i pomimo wysiłków nie udaje się mu

stracić ani minuty, bo dusza ludzka jest czujną i nic nie czyni bezużytecznie. „Ernst ist das Leben“, poważnem jest życie, i w głębi naszej istoty dusza nasza jeszcze nie zaśmiała się nigdy. Poza naszymi ruchami mimowolnymi prowadzimy byt cudowny, niewzruszony, i bardzo czysty, i bardzo pewny, o którym napomykają bezustannie wyciągające się dłonie, otwierające się oczy, spotykające się spojrzenia.

Wszystkie nasze organa są mistycznymi wspólnikami istoty wyższej, i nigdy nie znamy człowieka, a tylko duszę. Nie biedaka spostrzegłem, który zebrał na stopniach mojego progu, ale widziałem inną rzecz: na naszych oczach dwa przeznaczenia identyczne witały siebie i kochały siebie, i w chwili, gdy zebrek wyciągał rękę, małe drzwiczki domu otwierały się przez chwilę na morze.

W stosunkach moich z dzieckiem, mówi Emerson, greka, łacina, wszystko złoto, które posiadam, nie służą mi na nic; to, co mam w duszy, to tylko coś warte. Jeśli ja posiadam wolę, ono przeciwstawia jej swoją, jedna przeciw drugiej, i pozostawia mnie, jeśli zechcę, wstyd nadużycia mej siły w razie, gdybym go uderzył, lecz jeśli zrzekam się swojej woli, jeśli postąpię w imieniu duszy, stawiając ją między nami jako arbitra, wówczas przez jego młode oczy spoglą-

da taka sama dusza; dziecię czci i kocha wraz ze mną“.

Lecz jeśli to prawda, że najniższy z nas nie może uczynić najmniejszego ruchu bez porozumienia się z duszą i duchowem królestwem, w którym ona panuje, to również jest prawdą, że najmędrsi nie myślą prawie nigdy o nieskończonym, które potrafi zasłonić otwierająca się powieka, pochylająca się głowa, zamykająca się ręka. Żyjemy tak daleko od siebie samych, że nie wiemy prawie o niczem, co dzieje się na widnokręgu naszej istoty. Błąkamy się bezmyślnie po dolinie, nie pamiętając, że wszystkie ruchy nasze będą odtworzone i nabiorą znaczenia na szczycie góry; trzeba, aby od czasu do czasu przyszedł ktoś i powiedział: Podnieście oczy, spójrzcie, czem jesteście, przyjrzyjcie się, co robicie; nie tu żyjemy, lecz tam jesteśmy wysoko. Wejrzenia zamienione w mroku, słowa, które nie miały znaczenia u stóp góry — popatrzcie, czem się stały i co oznaczają ponad śnieżnymi szczytami; i jak te ręce, o których sądziliśmy, że są tak słabe, i tak małe, każdej chwili dotykają Boga, nie domyślając się tego.

Przychodzą tak niektórzy, dotykają naszego ramienia i ukazują palcem na to, co dzieje się na lodowcowych szczytach tajemnic. Ci nie są liczni. Zaledwo trzech czy czterech można wy-

mienić w naszym wieku. Pięciu czy sześciu było w wiekach innych; a wszystko, co zdołali nam powiedzieć, jest niczem w obec tego, co jest i o czym wie dusza nasza. Lecz cóż stąd? Alboż nie jesteśmy podobni do człowieka, który utracił wzrok w pierwszych latach swego dzieciństwa? On widział niewyczerpane widowiska bytu. Widział słońce, las i morze. Cuda te pozostały na zawsze w jego istocie; cóż możecie mu powiedzieć i czym będą wasze biedne słowa w obec owych polanek, burz i jutrzni, żyjących jeszcze w głębi jego umysłu i ciała? Lecz wszakże słuchać nas będzie z radością chciwą i zdziwioną i chociaż wie wszystko, a słowa wasze przedstawia mu mniej dokładnie, niż szklanka wody przedstawia wielką rzekę, małe, niedołężne frazesy, które padają z ust waszych, ukażą mu na chwilę ocean, gwiazdy, ciemne gęstwiny liści, to wszystko, co w ciemnościach spało pod jego martwemi powiekami.

Oblicza owego „ja transcendentalnego“, o którym mówi Novalis, prawdopodobnie są niezliczone, i żadnemu z moralistów mistycznych nie udało się zbadać podobnych. Swedenborg, Paskal, Novalis, Hello i kilku innych badali nasze stosunki z nieskończonem, abstrakcyjnym, subtelnym i bardzo dalekiem. Wprowadzali nas na góry, których szczyty nie wydawały się nam

naturalne, lub zdatne do zamieszkania i gdzie nieraz oddychaliśmy z trudnością. Goethe towarzyszy naszej duszy na wybrzeżach morza Wypogodzenia; Marek Aureliusz każe jej usiąść na pochyłości wzgórz ludzkiej dobroci, doskonałej a znużonej, pod listowiem zbyt ciężkiem beznadziejnej rezygnacyi; Carlyle, brat duchowy Emersona, przysłał nam w tym wieku ostrzeżenie z drugiego końca doliny; niby błyskawicami błyska bohaterskimi momentami naszej istoty na tle nieznanego, niezmiennie potwornego, wśród ciemności i burzy. Wiedzie nas jak oszalałe stado przez te burze ku nieznanym pastwiskom, przesiąkniętym siarką. Nagle odkrywa z radością najgłębsze ciemnie, rozświetlone jedyną gwiazdą bohaterów, pojawiającą się peryodycznie, świecąca jaskrawie, pędzi nas w te ciemności i tam, ze złośliwym uśmiechem, pozostawia nas samych na rozprzestrzenionych odmętach tajemnicy.

Lecz oto, w tym samym czasie, zjawia się Emerson, dobry pasterz poranny bladezielonych łąk nowego optymizmu, naturalny, wzbudzający ufność. Ten nie zaprowadzi nas nad brzeg przepaści. Nie wywiedzie nas ze skromnego wnętrza rodzinnego; dla niego lodowce, morze, wieczne śniegi, pałac, stajnia, wygasłe ognisko nędzarza i łożo chorego — wszystko znajduje się

pod jednym niebem, oczyszczone przez te same gwiazdy, poddane tym samym mocom nieskończonym.

Dla wielu przyszedł w chwili, kiedy potrzebowali jego przyjścia, kiedy śmiertelnie odczuwali potrzebę nowych wyjaśnień. Godziny bohaterskie są rzadkie, godziny abnegacyi jeszcze nie powróciły, pozostaje nam tylko życie codzienne; a przecie nie możemy żyć bez wielkości. Życiu temu, nieposiadającemu już swych widnokręgów tradycyjnych, Emerson nadał znaczenie niemal znośne, może nawet zdołał nam ukazać, że jest ono dosyć dziwne, dosyć głębokie i dosyć wielkie, aby nie czuć potrzeby innego celu ponad życie samo. Nie wie o niem więcej od innych, ale dowodzi z większą pewnością i ufa w tajemnicę. Trzeba żyć, wam wszystkim, którzy dni i lata pędzicie bez czynów, bez myśli, bez światła, trzeba żyć, ponieważ życie wasze, mimo wszystko, jest niepojęte i boskie. Trzeba żyć, ponieważ nikt nie ma prawa usunąć się z pod duchowych wydarzeń tygodni banalnych. Trzeba żyć, bo niema godzin bez utajonych cudów, bez niewytłumaczonych znaczeń. Trzeba żyć, bo niema czynu, słowa, poruszenia, które wymknęłyby się niewyjaśnionym badaniom tego świata, „gdzie wiele jest do czynienia, lecz mało do wiedzenia“.

Niema życia wielkiego ani małego i czyny Regulusa lub Leonidasa nie mają żadnej wagi, jeśli ją porównam z jaką chwilą tajemnego istnienia mojej duszy. Mogła lub nie mogła uczynić, co oni czynili, te rzeczy jej nie dosięgły; i dusza Regulusa, kiedy wracał z Kartagi była zapewne tak roztargniona, jak dusza robotnika, który powraca do fabryki. Jest ona bardzo daleka od wszystkich naszych uczynków; jest bardzo daleka od wszystkich naszych myśli. Żyje sama, w głębi nas, życiem, o którym nie mówi; z wyżyn, na których króluje, różnorodność istnień nie rozróżnia się. Chodzimy zgięci pod ciężarem naszej duszy; między nią i nami niema żadnej proporcji. Może ona nie śni o tem, co robimy; i to się czyta na naszej twarzy. Jeśliby można było spytać kogoś z innego świata, jaki jest syntetyczny wyraz ludzkiej twarzy — przyglądając się ludziom w ich radościach, w ich bolach, w ich niepokojach, odpowiedziałby zapewne: Mają wygląd, jakby marzyli o czemś innym.

Chociaż byłbyś wielkim i mądrym i wymownym, dusza biedaka zebrzącego na rogu mostu, nie będzie ci zazdrościła, ale twoja dusza może jej pozazdrościć — ciszy. Bohater potrzebuje uznania zwykłego człowieka, ale człowiek zwykły nie żąda uznania bohatera; postępuje drogą swego życia zupełnie spokojny, jak ten,

co ma wszystkie skarby swoje w bezpiecznem ukryciu przy sobie.

„Kiedy Sokrates przemawia, mówi Emerson, Lizys i Menexenes nie wstydzą się swego milczenia. Oni także są wielcy. Sokrates zwraca się do nich, kocha ich, gdy mówią, bo każdy człowiek zawiera w sobie i jest sam tą prawdą, którą wygłasza człowiek wymowny. Ale w człowieku wymownym, właśnie dla tego, że umie mówić, zdaje się, jakby ta prawda mniej przemieszkiwała; i dlatego to właśnie zwraca się on do tych czarujących, cichych, z wyróżnieniem i szacunkiem wyższym“.

Człowiek jest chciwy wyjaśnień. Potrzebuje, aby mu ukazano jego życie. Cieszy się, gdy gdziekolwiek znajdzie należyte wytłumaczenie drobnego ruchu, który dwadzieścia pięć lat temu uczynił. Lecz tu niema ruchów drobnych; są tylko po większej części stany naszej duszy powszedniej. Nie znajdziecie tu wiecznego charakteru myśli Marka Aureliusza. Tu, jest tylko człowiek, nic więcej. Nie wyrósł samowolnie; stał się nam tylko bliższym niż zazwyczaj. Jest to Jan, budujący swój dom, Piotr, strzyżący swe drzewa w ogrodzie, wy, co mówicie mi o swoim żniwie, ja, który podaję wam rękę; lecz wszyscy znajdujemy się w chwili, w której dotykamy bogów i zadziwieni jesteśmy tem wszystkim,

co czynimy. Nie wiedzieliśmy, że wszystkie siły duszy były obecne, nie wiedzieliśmy, że wszystkie prawa świata dokoła nas czuwały; obracamy się i oglądamy, nie mówiąc nic, jak ludzie, co widzieli cud.

Emerson przyszedł potwierdzić z prostotą tę jednostajną, ukrytą wielkość naszego życia. Otuilił nas milczeniem i podziwianiem. Podesłał smugę światła pod stopy pracownika, który wychodzi z warsztatu. Ukazał wszystkie moce nieba i ziemi, podtrzymujące próg, na którym dwaj sąsiedzi rozmawiają o padającym deszczu, o zrywającym się wietrze; ponad głowami dwóch idących obok siebie przechodniów, wskazał oblicze Boga, uśmiechającego się do Boga. Jak nikt inny, jest blizkim naszego życia powszedniego. Jest mędrcom dni powszednich, a wszak dni powszednie są w summie substancją naszej istoty. Nieraz lata całe uchodzą bez namiętności, bez cnót, bez cudów. Nauczcie się szanować małe godziny życia. Jeśli potrafię przeżyć dzisiejszy ranek według ducha Marka Aureliusza, nie spieszcie podkreślać moje uczynki, bo i ja także wiem, że coś zaszło. Lecz jeśli mniemam, że straciłem dzień na mizernych zabiegach, a wy zdołacie mi udowodnić, że jednak żyłem równie głęboko jak bohater i dusza moja praw swych nie straciła, uczynicie więcej, niż gdyby-

ście mnie przekonali, że zbawiłem dziś swego wroga, bo powiększycie we mnie sumę, wielkość i żądzę życia, a dzień jutrzejszy może potrafię przeżyć z godnością.

NOVALIS*.



udzie chodzą różnemi drogami; kto na nie uważa i porównywa między sobą, ujrzy powstający dziwny rysunek“, mówi nasz autor. Wybrałem troje ludzi, których drogi prowadzą nas na trzy różne szczyty. Widziałem na horyzoncie dzieł Ruysbroecka jaśnienie najbliżkitniejszych wyżyn duszy, podczas gdy u Emersona drobniejsze wzgórza ludzkiego serca zaokrąglają się w liniach nieregularnych.

Obecnie znajdziemy się na ostrych i często niebezpiecznych wyżynach umysłu; jednak i tam są między zielonawymi zrębami iglic ustronia pełne czarującego cienia, a atmosfera ich jest z niezmaconego kryształu.

Pięknie jest patrzeć, jak drogi duszy ludzkiej pną się ku niedostępnemu. Należy iść przez chwilę po śladach tych trzech dusz, które właśnie wymieniłem. Każda z nich wystąpiła daleko po za zwykłe koła powszedniej samowiedzy, i każda spotkała skarby, różne między sobą,

* Ustęp z przedmowy do tłumaczenia: „Uczniowie w Saïs“.

które wszakże musimy przyjąć jak odnalezione siostry cudowne.

Prawda ukryta jest motorem naszego życia. Jesteśmy jej niewolnikami bezwiednymi, niemymi; jesteśmy do niej przykuci, o ile się nie ukazuje. Lecz jeśli jedna z tych nadzwyczajnych istot, które są niby mackami duszy ludzkiej, niezliczenie jednej, szukając w ciemnościach domyśli się prawdy, to ostatni z nas, przez jakieś, nie wiem, wstrząśnienie nagłe i niewytłumaczone, uczują się z czegoś wyzwoleni, nowa prawda wyższa, czystsza i bardziej tajemnicza zajmie miejsce tej, która widząc się odsłoniętą bezpowrotnie ucieka, a dusza powszechna nie zdradzając się niczem na zewnątrz, wstępuje w erę czystsza i święci głębokie święta, w których bierzemy udział tylko bardzo odległy i opóźniony. I sędzę, że tym sposobem wznosi się ona i dąży do celu, jej samej tylko znanego.

Wszystko, co można wypowiedzieć, jest niczem w sobie. Połóżcie na jednej szali wszystkie słowa wielkich mędrców, a na drugiej bezwiedną mądrość dziecięcą, a zobaczycie, że to wszystko, co odkrył nam Platon, Marek Aureliusz, Schopenhauer i Pascal nie przeważa o jedną linię wielkich skarbów bezwiedzy; bo milczące dziecko jest tysiąc razy mądrzejszem od mówiącego Marka Aureliusza. A jednak, gdyby Marek Aure-

liusz nie napisał dwunastu ksiąg swoich Rozmyślań, część skarbów nieznanych, które kryje w sobie dziecię, nie byłaby taką samą. Może jest niemożliwym mówić jasno o tych rzeczach, lecz ci, co umieją badać siebie głęboko, i żyć chociażby przez jedno mgnienie błyskawicy według swej istoty integralnej, czują, że tak jest. Może być, że pewnego dnia da się odkryć zasada, podług której jeśliby Platon, Swedenborg lub Plotyn nie istnieli, dusza wieśniaka, który ich nigdy nie czytał i nigdy o nich nie słyszał, nie byłaby tem, czem jest niezawodnie dzisiaj. Lecz cokolwiek bądź być może, żadna myśl nie ginie nigdy dla żadnej duszy, a któż nam wymieni te części duszy naszej, które żyją tylko dzięki myślom niewypowiedzianym nigdy? Nasza samowiedza ma stopień niejeden, i najmędrsi z nas troszczą się jedynie o naszą samowiedzę, bezwiedną niemal, ponieważ stoi na punkcie stawiania się boską. Zwiększyć tę transcendentną samowiedzę było zawsze nieznanem a najgorętszem pragnieniem ludzi. Mało to znaczy, że jej nie znają, bo wszak nie znają niczego a jednak w duszy postępują tak mądrze, jakby najmądrzejsi. Co prawda, że większość ludzi nie powinna byłaby żyć, jak tylko w chwili swego zgonu. Tymczasem ta wiedza wewnętrzna nie powiększa się inaczej, jak tylko powiększając

dokoła nas niewytłumaczone. Staramy się poznać, aby nauczyć się niepoznać. Powiększamy się, zwiększając otaczające nas tajemnice; jesteśmy niewolnikami, którzy mogą podtrzymywać w sobie żądzę życia, jedynie pod warunkiem powiększenia, nie zniechęcając się do nich nigdy, bezlitośnego ciężaru swoich kajdan...

Historia tych więzów cudownych jest historią nas samych; bo jesteśmy tylko tajemnicą, a to, co wiemy, nie jest wcale zajmującym. Historia ta nie jest długą, zamyka się w kilku stronicach i rzecby można, że najlepsi bali się marzyć o niej. Jakże niewielu miało odwagę posunąć się do granic myśli ludzkiej! a wymieńcie nam tych, którzyby tam przebyli chociaż kilka godzin. Niejeden obiecał ją nam, inni zabrali się do niej na chwilę, lecz wkrótce jeden po drugim tracili siły niezbędne, aby w niej żyć, opadali na stronę zewnętrznego życia, na znane pola ludzkiego rozumowania i „wszystko znowu jak niegdyś bujało przed ich oczyma“.

Zaprawdę, jak trudno jest badać swą duszę i rozróżnić słaby jej głos dziecięcy, wśród otaczających ją, niepotrzebnych hałasów. A jednak, jak inne wysiłki umysłu, jeśli się nad tem zastanowić, znaczą mało, i jak nasze życie codzienne płynie od nas daleko. Można byłoby powiedzieć, że tu są tylko widma naszych godzin próż-

nych, roztargnionych, bezpłodnych, a tam jest jedyny punkt stały naszej istoty i samo miejsce jej życia. Trzeba się tam uciekać ustawicznie. Wiemy resztę, zanim nam ją powiedzą; ale tam uczymy się o wiele więcej nad to wszystko, co mogą nam powiedzieć; i w chwili, kiedy frazes się urywa i słowa się kryją, nasz wzrok zaniepokojony spotyka nagle po przez lata i wieki wzrok inny, który go tu oczekiwał na drodze Boga. Powieki drgną jednocześnie, oczy zwilżą się słodką i straszną rosą jednakiej tajemnicy i już wiemy, że nie jesteśmy sami, na drodze bez końca...

Lecz jakież księgi mówią nam o tym punkcie życia? Metafizycy dosięgają zaledwie granic, a jeśliby przekroczyć granice, w istocie, kogóż tam spotykamy? Kilku mistyków, którzy wydają się waryatami, bo przedstawiliby prawdopodobnie samą naturę myśli człowieka, gdyby ten miał czas i siłę być prawdziwym człowiekiem. Że lubimy przede wszystkim mistrzów rozumu zwykłego: Kanta, Spinozę, Schopenhauera i kilku innych, nie jest jeszcze powodem, aby odtrącić mistrzów innego rozumu, który jest również rozumem pokrewnym, a będzie może naszym rozumem przyszłości. Wszakże powiedzieli nam rzeczy, które dla nas były niezbędne. Otwórzcie najgłębszego ze wszystkich moralistów lub psy-

chologów, będzie wam mówił o miłości, o nienawiści, o dumie i innych namiętnościach naszego serca; te wszystkie rzeczy mogą nam się podobać przez chwilę, jak kwiaty oderwane od swej łodygi. Ale życie nasze realne, ciągle, toczy się o tysiące mil od miłości i o tysiące mil od duszy. Posiadamy ją głębsze i bardziej niewyczerpane niż ja namiętności lub czystego rozumu. Nie chodzi o to, aby nam opowiedzieć, co czujemy, kiedy kochanka nas opuszcza. Odchodzi dzisiaj; oczy nasze płaczą, ale dusza nie płacze. Może się stać, że dusza dowie się o wypadku i przemieni go w światło, bo wszystko, co w nią wpada, nabiera jasności. Lecz może być także, że nie wie nic; a wówczas, czyż warto o tem mówić? Należy pozostawić małe rzeczy tym, którzy nie czują, iż życie jest głębokie. Jeśli czytałem dzisiejszego ranka Rochefoucaulda lub Stendhala, czy sądzicie, że nabyłem myśli, które mnie uczyniły bardziej człowiekiem i że aniołowie, do których dzień i noc zbliżać się należy, znajdą mnie piękniejszym? Wszystko, co nie wzbija się ponad mądrość eksperymentalną i codzienną, nie należy do nas i nie jest godne naszej duszy. Wszystko, czego można nauczyć się bez męki, zmniejsza się. Uśmiechnąłbym się z goryczą, gdybyście zdołali mi dowieść, że byłem egoistą nawet w poświęceniu mego skarbu pokornych.

ścia i mojego życia; lecz cóż znaczy egoizm w obec tylu innych przepotęźnych rzeczy, które czuję w sobie żyjące niewidzialnem życiem? Nie na progu namiętności znajdują się czyste prawa naszej istoty. Przychodzą chwile, kiedy zjawiska zwykłej samowiedzy, którąby można nazwać samowiedzą namiętności, lub samowiedzą stosunków pierwszego stopnia, nie są w stanie już nam przysługiwać dalej, nie dosięgają już naszego życia. Zgadzam się, że samowiedza ta bywa skądinąd zajmująca i że niezbędnem jest poznać jej liczne zagięcia. Lecz jest to roślina powierzchni i korzenie jej boją się wielkiego ognia głębin naszej istoty. Mogę popełnić zbrodnię, a najłżejszy powiew nie zwróci najmniejszego płomyka tego ognia; a z drugiej strony, jedno zamienione spojrzenie, myśl, która nie zdołała jeszcze wykluć się, chwila, która przemknęła w ciszy, są w stanie rozdać straszliwe płomienie, wyrzucić je z utajonych głębi i rozlać na moje życie. Dusza nasza nie sądzi tak jak my, jest to rzecz ukryta a kapryśna. Wzruszyć ją może podmuch, a burza przejdzie ponad nią niepostrzeżenie. Trzeba wynajdywać, co może ją dosięść; wszystko jest tam, bo tam my jesteśmy.

I tak, wracając jeszcze do tej zwyczajnej samowiedzy, która panuje w wielkich odległościach od naszej duszy, znam niejednego umysł, którego

nie zadziwia wcale, naprzykład cudowne malowidło zazdrości Otella. Znajduje się ono bezpiecznie w pierwszych kołach człowieka. Pozostaje zawsze zachwycającem, aby tylko starano się nie otworzyć drzwi i okien, bo obraz mógłby rozsypać się w proch przy powiewie tego nieznanego, które czatuje z zewnątrz. Przysłuchujemy się dyalogowi Mora i Desdemony, jako rzeczy doskonałej, a jednocześnie nie możemy zaprzestać myśleć o rzeczach głębszych. Czy afrykański wojownik zostanie oszukany przez szlachetną Wenecyankę, czy nieposiada on inne życie. W jego duszy i dokoła jego istoty, nawet w chwili najnędrniejszych podejrzeń i najbrutalniejszej złości, muszą odbywać się fakty tysiąc razy wznioślejsze, których te gwary nie mogą zmaćić, i poprzez te powierzchowne wrzenie zazdrości niezmacone istnienie wieździe dalej swój byt, to istnienie, które geniusz ludzki ukazywał nam dotąd tylko przelotnie.

Czy stąd to rodzi się ów smutek, który bije z arcydzieł?

Poeci mogą je tworzyć jedynie pod warunkiem, że zamkną oczy na straszliwe horyzonty i nakażą milczenie głosom swojej duszy zbyt poważnym i zbyt licznym. Jeśli tego nie uczynią, stracą odwagę. Niema nic smutniejszego i bardziej zawodnego jak arcydzieło, bo nic le-

piej nie ukazuje niemocy człowieka w nabyciu przeświadczenia o godności jego i wielkości. I gdyby jakiś głos nie ostrzegał nas, że najpiękniejsze rzeczy są mczem w obec tego wszystkiego czem sami jesteśmy, nicby nas nie zmniejszało bardziej, jak one.

„Dusza, mówi Emerson, jest wyższa ponad to, co można wiedzieć o niej i mędrsza niż wszystkie jej dzieła. Wielki poeta daje nam uczuć naszą własną wartość i wówczas uważamy za mniejsze to, co on zrealizował. Najlepsza rzecz, jakiej nas nauczył, to jest wzgarda dla wszystkiego, co stworzył. Szekspir porywa nas na tak wzniosłe prądy umysłowej czynności, że poddaje nam ideę bogactwa, w obec którego własny jego dobytek wydaje się mizernym, i wówczas czujemy, że wzniosłe dzieło, które stworzył — a które my w innych chwilach podnosimy do wysokości poezyi samej w sobie — nie należy głębiej do realnej natury rzeczy niż przelotny cień przechodnia, przesuwający się po skałach“.

Wzniosły krzyk wielkich poematów i wielkich tragedyi nie jest niczem więcej, jak krzykiem mistycznym, nienależącym do zewnętrznego życia tych poematów i tych tragedyi. Wytryska on nagle z życia wewnętrznego, każe nam oczekiwać na coś, nie wiem, niesłychanego, na co



oczekujemy z taką niecierpliwością! — aż póki namiętności, aż nazbyt znane, nie przykryją go znowu swym śniegiem. W takich to chwilach ludzkość staje przed obliczem swoim własnem tak, jak staje człowiek przed obliczem anioła. Przeto ważnem jest, by stawała przed sobą jak można najczęściej, a to dlatego, iżby dowiedziała się, czem jest. Jeśliby jakaś istota z innego świata zstąpiła pomiędzy nas i zażądała najwspanialszych kwiatów naszej duszy oraz tytułów szlachectwa na ziemi, cóżbyśmy jej podali? Niektórzy, nie wiedząc co czynią, ukazaliby filozofów. Nie pamiętam, kto odpowiedział, że ofiarowałyby Otella, króla Leara i Hamleta. Otóż nie! tem nie jesteśmy. Sądzę, że dusza w głębi naszego ciała gotowa byłaby umrzeć ze wstydu, bo wie, że skarby jej widzialne nie są tak utworzone, iżby mogły być wykazane przed oczyma obcych, i zawierają tylko fałszywe brylanty. Najskromniejszy z nas w samotnych chwilach swoich, kiedy wie, co trzeba wiedzieć, czuje się w prawie, wykazać się czemś innem, niż arcydzieło. Jesteśmy istotami niewidzialnemi. Nie mielibyśmy nic do powiedzenia niebieskiemu posłańcowi, ani nic do pokazania; nasze najpiękniejsze rzeczy stałyby się nagle podobne do owych biednych relikwii familijnych, które wydawały się drogocennemi, póki spoczywały w głębi

szufladek, lecz stały się tak maluczkiemi, gdy chcąc je komuś obcemu pokazać, wyjęliśmy je z cienia. Jesteśmy istotami niewidzialnemi, które w sobie tylko żyją, i najbardziej uważny gość odejdzie, nie domyślając się nawet tego, co mógłby zobaczyć; chyba wda się w tę sprawę współczująca dusza! Ona ucieka tak chętnie przed małemi rzeczami i tak trudno odnaleźć ją w życiu, że straszno jest przywołać ją na pomoc. A jednak zawsze jest obecną; a skoro jest w domu nigdy się nie myli, ani omyla innych. Niesłychanemu wysłannikowi ukazałaby ona złożone dłonie człowieka, jego oczy pełne snów, nie mających nawet imienia, jego usta nie mogące nic powiedzieć; a może wtenczas wysłannik ów, jeśli jest godnym zrozumieć, nie śmiałby pytać dalej...

Lecz jeśli zażądałby innych jeszcze dowodów, powiodłaby go między tych, których dzieła graniczą prawie z cichością. Otwarłaby drzwi mieszkań, gdzie niektórzy kochali ją dla jej samej, nie troszcząc się o drobne ruchy jej ciała. Wstąpiłoby oboje na wysokie wyżyny pustynne, gdzie samowiedza o stopień wyżej się podnosi i gdzie wszyscy, niepokojący się o siebie, krążą uważnie dokoła potwornego pierścienia, który wiąże świat widzialny z naszymi światami wyższymi. Pójdzie

z nim na granice człowieka; bo tam, gdzie człowiekowi zdaje się, iż kończy, prawdopodobnie zaczyna, i jego strony najistotniejsze i niewyczerpane znajdują się w niewidzialnym, gdzie on musi ciągle wyczekiwać na samego siebie. Jedynie na tych wyżynach przemieszkują myśli, które dusza może wyznać i podobne do niej idee tak królewskie, jak ona sama. Tam ludzkość panowała przez jedną chwilę i te szczyty słabo oświetlone są może jedynymi światłami, które dają znać o ziemi w przestrzeniach ducha. Ich połyski mają prawdziwą barwę naszej duszy. Czujemy, że namiętności serca i umysłu w oczach obcego umysłu podobne będą do kłótni dzwońców; lecz ludzie, o których mówię, w dziełach swoich wyszli z małej wioski namiętności i opowiadają rzeczy, które mogą interesować tych, co nie są z ziemskiej parafii. Nie trzeba, aby nasza ludzkość poruszała się wyłącznie w głębi siebie, jak stado kretów. Trzeba, aby tak żyła, jakby miała kiedyś zdać sprawę ze swego życia przed starszymi braćmi. Umysł zajęty sobą samym jest tylko sławą miejscową, która wywołuje uśmiech na usta podróżnika. Jest coś więcej jeszcze nad umysł i nie umysł łączy nas ze wszechświatem. Już czas, aby nie mieszano go z duszą. Nie chodzi o to, co dzieje się wśród

nas, lecz o to, co dokonywa się w nas, ponad namiętnościami i rozumem.

Jeśli obcemu duchowi nie ofiaruję nic więcej ponad Rochefoucaulda, Lichtenberga, Mereditha lub Stendhala, będzie patrzył na mnie, jak ja patrzę na beznadziejnego mieszczaucha, żyjącego w głębi martwego miasta, który mówi mi o swojej ulicy, o swoim małżeństwie, o swojej fabryce. Jakiż anioł zapyta Tytusa, dlaczego nie zaślubił Bereniki i dlaczego Andromacha obiecała się Pyrrusowi? Cóż jest Berenika jeśli ją porównam z tem, co jest niewidzialnego w żebracze, która zaczepiła mię na ulicy, lub w prostytutce, dającej mi znak ręką? Jedyne słowo mistyczne zdolne jest chwilami określić istotę ludzką; ale dusza nasza nie przebywa w tych sferach bez cienia i przepaści; i wy sami, czy zatrzymujecie się tam w ważnych godzinach, kiedy życie zaciąży wam na barkach waszych? Człowiek nie jest w tych rzeczach, a jednak rzeczy te są doskonałe. Lecz mówić o tem można tylko przed sobą i wypada milczeć o nich, kiedy gość jaki zapuka do drzwi naszych wieczorem. Lecz jeśli ten sam gość zastanie mię w chwili, kiedy dusza moja szuka klucza do swoich skarbów, najbliższych w Pascalu, Emersonie i Hello, lub w tych innych, których zaciekawiało piękno bardzo czyste, wówczas nie

zamknę księgi z rumieńcem na twarzy; a może ów gość poweźmie jakieś wyobrażenie o bratniej istocie, skazanej na milczenie, albo przynajmniej się dowie, iż nie wszyscy byliśmy zadowolonymi mieszkańcami ziemi.

TRAGIZM POWSZEDNI.



est tragizm powszedni, o wiele realniejszy, o wiele głębszy i o wiele odpowiedniejszy naszej prawdziwej istocie niż tragizm wielkich wydarzeń. Łatwo go odczuć, ale trudno go ukazać, bo ten tragizm istoty rzeczy nie jest prostym tragizmem materyalnym lub psychologicznym. Nie chodzi tu już o walkę ściśle określoną istoty przeciw istocie, o walkę żądania przeciw innemu żądaniu albo o wieczny bój namiętności przeciw obowiązki. Chodziłoby tu raczej o wykazanie, co jest zadziwiającego w samym fakcie życia. Chodziłoby raczej o podpatrzenie bytu duszy w niej samej, wśród niezmiernego ogromu, który nigdy nie bywa bezczynnym. Chodziłoby raczej o usłyszenie, z ponad zwykłych rozmów rozumu i uczuć, rozmowy uroczytszej a nieprzerwanej, rozmowy istoty i jej przeznaczenia. Chodziłoby raczej o wyśledzenie kroków niepewnych, a bolesnych istoty, która oddała się lub przybliżyła do swojej prawdy, do swego piękna albo do Boga swojego. Chodziłoby jeszcze o wskazanie nam i zaznajomienia z tysiącem rzeczy analogicznych, które poeci tragiczni przesunęli

przed naszymi oczyma niewyraźnie, w przelocie tylko.

Ale oto przychodzi punkt główny: czy można byłoby to, co przesunęli przed nami niewyraźnie w przelocie, ukazać w pełni przed ukończeniem? Czy to, co się rozumie naprzykład pod królem Learem, Macbethem, Hamletem, ta pieśń tajemnicza nieskończoności, to milczenie groźne dusz czy bogów, wieczność, która grzmi zdala na horyzoncie, przeznaczenie albo fatalizm uczuwany wewnątrz, rozpoznany po niedających się określić znakach — czy to wszystko dałoby się za pomocą, nie wiem, jakiegoś przelania ról, przybliżyć do nas, podczas gdy oddaliliby aktorów? Czy byłoby zbyt hazardownie utrzymywać, że prawdziwy tragizm życia, tragizm normalny — głęboki i ogólny — zaczyna się z chwilą, w której to, co zwa wypadkami, bólem i niebezpieczeństwem już minęły? Czy szczęście nie posiada ramienia dłuższego niż nieszczęście i czy niektóre siły nie zbliżają się bardziej do ludzkiej duszy? Czyż trzeba koniecznie wyć, jak Atrydzi, aby jakiś Bóg wieczysty zszedł nad nasze życie i czyż nie przychodzi on nigdy usiąść w nieruchomym blasku naszej lampy? Może to raczej spokój, jeśli się nad nim zastanowić, jest straszny, a gwiazdy nad nim czuwają; i czy istota życia rozwija się w gwarze czy w ciszy? Jeśli

przy końcu opowiadania mówią nam: „i byli szczęśliwi“, czy nie powinienby zapanować właśnie wielki niepokój? Cóż się dzieje, podczas gdy są szczęśliwi? Czy szczęście lub jedna chwila spokoju nie odsłania rzeczy poważniejszych i stałszych niż ruch namiętności? Czy nie wówczas to pochód czasu i inne tajemne pochody stają się nakoniec widoczne a godziny mkną szybko? Czy to wszystko właśnie nie dosięga fibrów głębszych niż uderzenie sztyletu w dramatach zwyczajnych? Czy nie wtedy to, kiedy człowiek sądzi się być zabezpieczonym od śmierci zewnętrznej, dziwna, cicha tragedia bytu i niezmierności otwiera istotnie wrota swego teatru? Czy to nie wtedy, kiedy uciekam od obnażonego ostrza pałasza, egzystencja moja dosięga swego punktu najbardziej interesującego? Czyż zawsze jest najwznieślejszą w pocałunku? Czy niema chwil innych, w których słycać głosy i czystsze i trwalsze? Alboż dusza wasza rozkwita tylko podczas burzy nocnej? Zdawałoby się, że tak mniemano, aż dotąd. Niemal wszyscy nasi autorowie tragiczni widzą tylko życie gwałtowne i życie dawnych dni; można śmiało twierdzić, że cały nasz teatr jest anachronizmem i że sztuka dramatyczna opóźniła się o taką ilość lat jak i rzeźba. Nie jest to samo z malarstwem i z dobrą muzyką naprzykład, które

potrafią łączyć się i odtwarzać rysy najbardziej ukryte, lecz niemniej ważne i zadziwiające naszego życia dzisiejszego. One spostrzegły, że jeśli życie straciło na swej powierzchni dekoracyjnej, to równocześnie zyskało na głębokości, na znaczeniu szczerzem, na ważności duchowej. Dobry malarz nie będzie już dziś malował zwycięzcy Cymbrów, Maryusza albo zamordowania księcia de Guise; bowiem psychologia zwycięstwa lub zabójstwa jest pierwotną i wyjątkową, a bezużyteczny hałas gwałtownego aktu zagłusza głos istot i rzeczy, głębszy lecz wahający się i wpółukryty. Namaluje on raczej dom gdzieś zaginiony w głuszy wiejskiej, drzwi otwarte w głębi korytarza, twarz lub ręce odpoczywające; i te skromne obrazy potrafią dorzucić cośkolwiek do naszej samowiedzy życia; a jest to już dobro, którego utracić nie sposób.

Lecz nasi autorowie tragiczni, zarówno jak malarze średniej miary, zagrzęźli w malarstwie historii, całą ważność swych dzieł mieszczą w gwałtowności anekdoty, którą przedstawiają. Chcą nas zabawić tym samym rodzajem aktów, jakimi zadowalniali się barbarzyńcy, dla których spiski, zabójstwa, zdrady przedstawiane przez malarzy były rzeczą zwykłą. A wszakże większa część naszych żywotów upływa zdała od krwi, krzy-

ków i szpad, a lzy ludzkie stały się ciche, niewidzialne i niemal duchowe...

Kiedy przychodzę do teatru, zdaje mi się, że przeżywam kilka godzin pośród moich przodków, którzy mieli o życiu pojęcie proste, suche i brutalne, o którym już prawie nie mogę przypomnieć ani wziąć w niem udziału. Widzę tu zdradzonego męża, który zabija żonę; kobietę trującą swego kochanka, syna, który mści się za ojca, ojca poświęcającego swe dzieci, dzieci, które zabijają ojca, zamordowanych królów, znieważone dziewice, uwięzionych obywateli i całą tę wzniosłość tradycyjną — niestety! tak sztuczną i materyalną — krwi, łez zewnętrznych i śmierci. Cóż mogą mi powiedzieć istoty, które mają jedną tylko myśl przewodnią, a żyć czasu nie mają, ponieważ muszą zadać śmierć rywalowi lub kochance?

Przyszedłem tu w nadziei, że zobaczę coś z życia przywiązanego do swych źródeł i tajników więzami, których badać codzien nie mam możliwości ani siły. Przyszedłem w nadziei, że na jedną chwilę ujrzę piękno, wielkość i ważność mego codziennego życia. Spodziewałem się, że pokażą mi nie wiem jaki byt, jaką moc, lub jakiegoś boga, mieszkającego ze mną w moim pokoju. Oczekiwałem, nie wiem, jakich chwil wzniosłych, które przeżywałem, nie wiedząc o nich, wśród

moich godzin najskromniejszych; a najczęściej spotykałem człowieka, który mi opowiadał długo, dlaczego jest zazdrosnym, dlaczego truje, albo dlaczego sam się zabija.

Zachwycam się Otellem, lecz nie zdaje mi się, aby żył wspaniałem życiem poprzedniem Hamleta, który ma czas żyć, ponieważ nie działa. Otello jest zachwycająco zazdrosnym. Lecz nie jestże to błąd stary mniemać, że zaledwo w chwilach takiej namiętności lub innych równie gwałtownych, żyjemy prawdziwie? Zdarzyło mi się mniemać, iż starzec w głębi swego krzesła, czekający skromnie pod blaskiem lampy, przysłuchujący się, nie wiedząc o tem odwiecznym prawom, panującym dokoła jego domu, badający, sam nie wiedząc czemu, co tkwi w ciszy drzwi i okien i w nikłym szmerze światła, uczuwający istność swojej duszy i przeznaczenia swego, z pochyloną nieco głową, nie dbając o to, że wszystkie moce tego świata wniknęły i czuwają dokoła w pokoju, jak służebne czujne, nie wiedzący o tem, że samo słońce podtrzymuje ponad przepaścią stół, na którym on się wspiera i że niema takiej gwiazdy na niebie, ani takiej siły w duszy, która byłaby obojętną na ruch opadającej powieki lub podnoszącej się myśli—zdarzyło mi się mniemać, że taki starzec nieruchomy w rzeczywistości żył życiem głębszem,

bardziej ludzkim i bardziej ogólnem, niż kochanek, który dusi swoją kochankę, kapitan odnoszący zwycięstwo lub „małżonek, który się mści za swój honor“.

Powiedzą mi może, iż życie nieruchome nie może być widzialnem i że dla ożywienia go trzeba jakichś ruchów, a ruchy te urozmaicone i podatne do wyrażenia znajdują się tylko w niewielkiej ilości uczuć wyrażonych dotychczas. Nie wiem, czy jest to prawdą, że teatr statyczny jest niemożliwym do urzeczywistnienia. Zdaje mi się nawet, że taki istnieje. Większość tragedyi Eschylesa jest tragedjami nieruchomemi. Nie mówię o Prometeuszu i Błagających, gdzie nic się nie wydarza; ale cała tragedia Choéphory, będąca jednak najstraszliwszym dramatem starożytności, krąży jak straszny sen dokoła grobu Agamemnona, aż póki zbrodnia nie wytryśnie jak błyskawica ze stosów modłów, gromadzących się jedno na drugich bezustannie.

Rozpatrzcie z tego punktu widzenia inne piękne tragedye starożytnych: Eumenidy, Antygonę, Elektrę, Oedypa w Kolonie.

„Podziwiali oni, mówi Racine w przedmowie do Bereniki, podziwiali Ajaxa Sofoklesa, który nie jest niczem więcej jak Ajaxem, zabijającym się z żalu, z przyczyny, że wpadł w wściekłość, gdy mu odmówiono zbroi Achillesa. Podziwiali

Filokleta, którego całą osnową jest wykradzenie przez Ulissa strzał Herkulesa. Sam Edyp, chociaż pełen miejsc wdzięcznych, mniej jest obciążony materiałem niż najskromniejsza tragedia naszych czasów“.

Nie jestże to życie niemal nieruchome? Zazwyczaj niema już nawet akcji psychologicznej, która jest tysiąc razy wyższą od akcji materialnej i wydaje się być nieodzowną, lecz którą niemniej zdołali opanować lub zredukować przedziwnym sposobem, do tego stopnia, aby już nie wzbudzała innego interesu jak ten, jaki daje położenie człowieka we wszechświecie. Tu, już nie jesteśmy wśród barbarzyńców i człowiek nie porusza się wśród żywiołowych namiętności, które nie są wcale jedynie interesującą w mim rzeczą. Mamy czas widzieć go w spokoju. Już tu nie idzie o jedną chwilę istnienia gwałtowną i wyjątkową, lecz o istnienie samo. Tysiące jest praw możniejszych i godniejszych szacunku niż prawa namiętności; lecz te prawa powolne, dyskretne i ciche, jak wszystko, co jest niepokonanej siły, można słyszeć i spostrzegać tylko w półświecie i skupieniu spokojnych godzin życia.

Kiedy Ulisses i Néoptolemen przybywają do Filoklesa zażądać broni Herkulesa, ich czynność jest tak prosta i skromna, jak czynność człowieka dni naszych, kiedy przychodzi odwiedzić

chorego, albo kiedy podróżny puka do drzwi oberży, albo kiedy matka wyczekuje u ogniska na powrót dziecka. Sofokles mimochodem tylko zaznacza nagłym ruchem charakter swego bohatera. Lecz czyż nie można twierdzić, że punkt ciężkości tragedyi nie leży w walce między wybiegiem i prawością, między żądaniem ojczyzny a urazą i szaleństwem duszy? Jest w tem coś jeszcze innego; należy tu wskazać wyższe istnienie człowieka. Do życia zwykłego poeta dorzuca coś, nie wiem, co jest tajemnicą poetów i nagle ukazuje się to życie w swojej cudownej wielkości, w swoim poddaniu się potęgom nieznanym, w swoich nieskończonych stosunkach i w uroczystej nędzy. Chemik do wazy, która zdaje się zawierać tylko wodę czystą, wlewa kilka kropel tajemniczych: i nagle powstaje cały świat kryształów, wykrywając nam wszystko, co w sobie zawierała waza, a czego nasz wzrok niedoskonały nie umiał dostrzedz zrazu. Tak w *Filoktecie* drobna psychologia trzech głównych osób zdaje się tworzyć jedynie brzeg wazy, gdzie w czystą wodę życia zwyczajnego poeta rzuca krople-objawicielki swego geniuszu...

Tak więc nie w działaniu, lecz w słowach leży wielkość i piękność wielkich i pięknych tragedyi. Lecz czyż tylko w tych słowach, które towarzyszą działaniu lub je tłumaczą? Nie; musi

tu być jeszcze coś innego niż dyalog zewnętrznie niezbędny. Są to właśnie te „słowa, które zrazu zdają się być niepotrzebne w sztuce. W nich to zawiera się jej dusza. Obok dyalogu niezbędnego prawie zawsze znajduje się inny dyalog, który wydaje się być zbytecznym. Przyjrzyjcie się uważnie: zobaczycie, że to są jedyne słowa, które dusza głęboko słucha, bo jedynie w tych słowach do niej się mówi. Rozpoznacie także, że jedynie jakość i rozciągłość tego niepotrzebnego dyalogu świadczy o przymiotach i doniosłym znaczeniu dzieła. W zwykłych dramatach dyalog niezbędny wcale nieodpowiada rzeczywistości; to co daje tajemniczą piękność najpiękniejszym tragediom znajduje się właśnie w słowach, które dają się słyszeć obok ścisłej a pozornej prawdy, Piękność ta znajduje się w słowach, odpowiadających prawdzie głębszej i niezrównanie bliższej duszy niewidzialnej, która podtrzymuje cały poemat. Można nawet twierdzić, że poemat przybliża się do piękna i prawdy wyższej, w miarę, jak zmniejsza słowa objaśniające akcję, a zastępuje je słowami, które objaśniają nie to, co się nazywa „stanem duszy“, ale, nie wiem, jakieś nieuchwytnie a nieustanne dążenia dusz ku ich prawdzie i ku ich pięknu. Ta sama miara przybliża poemat do życia prawdziwego. W życiu codziennym zdarza

się każdemu człowiekowi rozstrzygnąć za pomocą słów jakąś nader ważną sytuację. Zastanówcie nad tem chwilę, Czy zwykle w takich razach to, co powiecie i to, co wam odpowiedzą, znaczy najwięcej? Czy raczej inne siły, inne wyrazy, te których nie słyszymy, nie rozstrzygną sprawy? To, co powiem, często gra bardzo małą rolę; ale moja obecność, stan mojej duszy, przeszłość i przyszłość moja, co się ze mnie narodzi, co umarło we mnie, jakaś myśl tajemna, gwiazdy, które mnie badają, przeznaczenie moje, tysiące tajemnic, które mnie otaczają i was otaczają, oto co do was mówi w tę chwilę tragiczną i oto, co mnie odpowiada. To wszystko się znajduje pod każdym mojem i waszem słowem i to wszystko mimo naszej chęci słyszymy.

Jeśli przychodzisz do mnie jako „mąż zhańbiony“, jako „oszukany kochanek“, „opuszczona kobieta“ w zamiarze zabicia mnie; nie moje najbardziej wymowne frazesy mogą powstrzymać twą rękę. Lecz może się zdarzyć, że spotkacie się nagle z jedną z tych sił niezwykłych i że dusza moja, która wie dobrze, że czuwają one nademną, szepnie ci jedno słówko tajemne, które odrazu cię rozbroi. W takich to sferach rozstrzygają się wypadki, i echa takich dialogów należy dać usłyszeć. I słyhać je, to echo, — co prawda bardzo słabe i zmienne — w niektórych

z tych wielkich dzieł, o jakich mówiłem przed chwilą. Lecz czyż nie można byłoby próbować zbliżyć bardziej się do tych sfer, gdzie wszystko dzieje się w rzeczywistości?”

Zdaje się, że są już 'podobne próby. Przed niedawnym czasem, z powodu dramatu Ibsena, gdzie ten dyalog „drugorzędny“ daje się słyszeć najtragiczniej, z powodu Solnessa Budowniczego próbowałem jeszcze niezręczniejsze przebić te tajemnicze ciemnie. Wszakże są to te same znaki ręką tego samego ślepcy, na tym samym murze poczynione, w kierunku tych samych światła. Cóż jest w Solnessie, mówiłem, co poeta dodał do życia, że się nam ono ukazuje tak dziwnem, tak głębokiem i niepokojącym pod swoją blahością zewnętrzną. Nie łatwo to odkryć i stary mistrz chroni nie jedną jeszcze tajemnicę. Wydaje się nawet, że to, co chciał powiedzieć, jest drobnostką w obec tego, co trzeba mu było wypowiedzieć. Wyzwolił pewne siły duszy, które nigdy nie były swobodne, a może nawet one go miały w swej mocy. „Patrz, Hildo, woła Solness, patrz! Są jakieś czary w tobie, jak i we mnie. To te czary nadają ruch potęgom zewnętrznym. I trzeba im zawierzyć. Czy się chce, czy nie chce, trzeba“. Czary są w nich, jak i w nas wszystkich. Hilda i Solness są, zdaje mi się, pierwszymi bohaterami, którzy

czują przez chwilę, że żyją w atmosferze duszy i to życie podstawowe, które odkryli w sobie poza zwyczajnem życiem, zdaje się ich przerażać. Hilda i Solness to są dwie dusze, które odkryły położenie swe w życiu prawdziwym. Wiele jest sposobów poznania człowieka. Wezmę na przykład dwie lub trzy istoty, które widuję niemal codziennie. Bardzo być może, że przez czas długi będę ich tylko poznawał po ich ruchach, po zewnętrznych albo wewnętrznych zwyczajach, po sposobie ich czucia, myślenia i działania. Ale, pomimo całej długiej przyjaźni, przychodzi jakaś chwila tajemnicza i spostrzegamy nagle, że się tak wyrazić, ściśle określone położenie naszego przyjaciela, w stosunku do otaczającego nieznanego; i również zachowanie się przeznaczenia względem niego. Od tej to chwili zaledwie należy on do nas prawdziwie. Raz na zawsze będziemy wiedzieli, w jaki sposób wypadki ułożą się względem niego. Już wiemy, że może się sobie skrywać w głębi swych mieszkań, może zachować możebną nieruchomości, z obawy, aby nie poruszyć czego w wielkich zbiornikach przyszłości, przezorność jego na nic się nie zda, niecofnięte, przeznaczone mu wypadki wykryją go wszędzie i przyjdą zapukać do jego drzwi. A z drugiej strony wiemy, że on sam nadaremnie pójdzie na poszukiwanie wszel-

kich innych zdarzeń. Wróci zawsze z próżnymi rękami. W chwili, gdy oczy nasze są podobnie otwarte, jakaś niezbita wiedza zdaje się rodzić w naszej duszy i bez żadnej pewnej racji jesteśmy pewni, że taki a taki wypadek, leżący tak blisko, że tylko sięgnąć ręką, temu człowiekowi nie zdarzy się prawie nigdy.

Od tej chwili jakaś specjalna część duszy panuje nad przyjaźnią najmniej inteligentnych i najbardziej ciemnych nawet istot. Jest jakiś rodzaj transmisji sił życia. I jeśli przypadkiem spotkamy jednego z tych, którychśmy w taki sposób poznali, uczujemy, nawet rozmawiając o rzeczach obojętnych, o padającym śniegu, o przechodzących kobietach, że jest coś w nas, jakaś mała cząstka, która pomimo naszej wiedzy wita się, bada, pyta wzajemnie, interesuje się okolicznościami i opowiada o wypadkach, które nie sposób nam zrozumieć...

Sądzę, że Hilda i Solness znajdują się w takim stanie i widzą siebie tym sposobem. Ich spostrzeżenia nie podobne są do niczego tego, cośmy dotąd słyszeli; poeta kusił się połączyć w jednym i tem samym wyrażeniu dialog zewnętrzny z dialogiem wewnętrznym. W tym sonambulicznym dramacie panują, nie wiem jakie nowe potęgi nieznane. Wszystko, co się tam mówi, chowa i odkrywa zarazem źródła niezna-

nego życia. A jeśli jesteśmy zdumieni niekiedy, nie powinniśmy zapominać, że dusza jest bardzo często, w naszych biednych oczach potęgą szaloną i że w człowieku wiele jest krain płodniejszych, głębszych i ciekawszych niż dziedziny rozumu i rozsądku...

GWIAZDA.



ożna byłoby powiedzieć, że z wieku na wiek jakiś poeta tragiczny „z pochodnią poezyi w rękę przebiega labirynty przeznaczenia“. Tym sposobem utwierdzili oni, każdy według sił swojej godziny, duszę roczników ludzkich i tak utworzoną została historia boska. Podług nich jedynie można śledzić przemiany bez końca owej wielkiej potęgi niewzruszonej. I rzecz to ciekawa iść za nimi: bo najczystsza z dusz narodów mieści się w głębi idei, jaką oni wytworzyli sobie z owej potęgi. Całkowicie idea ta nie zamiera nigdy lecz bywają chwile, w których zaledwo tleje i zauważano, że w takich chwilach życie nie jest ani zbyt silne ani zbyt głębokie. Raz tylko czczoną była bezpodzielnie; lecz wówczas dla samych bogów była przerażającą tajemnicą. Jest to dość dziwnem, jeśli skonstatujemy, że epoka, w której bóstwo bez oblicza ukazywało się najbardziej straszne i najbardziej niepojęte, było najpiękniejszą dobą ludzkości i że ten był z narodów najszcześniejszy, który przedstawiał sobie przeznaczenie pod postacią najstraszniejszą.

Zdawałoby się, że jakaś siła tajemnicza leży

w tej idei, lub że idea ta jest znakiem pewnej siły. Czy człowiek urasta w miarę, jak rozpoznaje wielkość nieznanego, które nad nim panuje, czy raczej to nieznanie powiększa się wraz z człowiekiem? W dzisiejszej dobie, rzeczby można, budzi się idea przeznaczenia. Może nie byłoby bezużytecznem udać się na poszukiwanie przeznaczenia. Lecz gdzież je znaleźć? Iść na poszukiwanie przeznaczenia, nie jestże to poszukiwać smutków ludzkości? Niema przeznaczenia radości, niema szczęśliwej gwiazdy. Tę, którą tem mianem zowią, jest tylko gwiazdą, która czeka cierpliwie.

Słuszna jest zresztą, abyśmy szli niekiedy na poszukiwanie naszych smutków, nawet wówczas, kiedy wielka, bezkształtna masa naszego przeznaczenia nie jest jeszcze u celu.

Jest to najskuteczniejszy sposób poszukiwania samego siebie; można bowiem powiedzieć, że tyle jesteśmy warci, ile warte są nasze niepokoje i nasze tęsknoty. W miarę, jak postępujemy naprzód, stają się one głębszemi, szlachetniejszymi, piękniejszymi. Marek Aureliusz jest najbardziej ze wszystkich ludzi godnym uwielbienia, ponieważ najlepiej zrozumiał, co złożyła dusza nasza w biednym uśmiechu rezygnacyi, który tai się w naszej głębi. To samo jest ze smutkami ludzkości. Kroczą one drogą podobną

do drogi naszych smutków; lecz ich droga jest dłuższa i pewniejsza, a prowadzi do dziedziny, którą poznają zaledwo ci, co przyjdą ostatni. Wyszła również z bolu fizycznego, przeszła przez bojaźń bogów a dziś stanęła ponad nową, nieznaną zatoką, której głębi nie zbadali jeszcze nawet najlepsi z nas.

Każdy wiek kocha się w innej boleści, bo każdy wiek widzi inne przeznaczenie. Pewnem jest, że nie zajmują nas tak, jak niegdyś katastrofy wielkich namiętności; i najtragiczniejsze arcydzieła przeszłości są niższym rodzajem smutku, niż nasze smutki dzisiejsze. Dotykają nas one tylko pośrednio, przez to, co nasze zagłębianie się i ta szlachetność nowa, którą ból życia w nas wytworzył, dorzuca do tych prostych wypadków miłości lub nienawiści, jakie one odtwarzają.

Niekiedy zdaje się, jakbyśmy stanęli nad brzegiem nowego pesymizmu, tajemniczego, i może bardzo czystego. Najstraszniejsi mędracy, Schopenhauer, Carlylle, Rossyanie, Skandynawi i dobry optymista Emerson, — on także — (bo nic bardziej nie odbiera odwagi, jak optymista dobrowolny) przeszli, nie wytłumaczywszy naszej melancholii. Czujemy, że pod wszystkimi prawdami, które spróbowali nam wypowiedzieć, jest dużo prawd głębszych, których nie umieli

nam odkryć. Smutek człowieka od czasu ich przyścia okazał się już pięknym; może wypiękniec nieskończonej jeszcze, aż póki jakaś istota genialna nie wymówi ostatniego słowa bólu, które nas wreszcie oczyści zupełnie...

Tymczasem zaś znajdujemy się w rękach dziwnych potęg, a stoimy na punkcie domyślenia się ich intencji. Za czasów wielkich tragików ery nowej: Szekspira, Racina i ich następców wierzone, że wszystkie nieszczęścia pochodzą z rozlicznych namiętności naszego serca. Katastrofa nie buja między dwoma światami: przychodzi stąd, aby pójść tam i wiemy, gdzie jest jej światło. Człowiek zawsze jest panem. W czasach greckich był nim daleko mniej; tam fatum panowało na wyżynach. Lecz było niedościgłem, i nikt nie śmiał go badać. Dzisiaj fatalizm właśnie jest zgłębiany i może w tem leży to wielkie piękno, które cechuje teatr doby dzisiejszej. Nikt już nie zastanawia się nad wypadkami nieszczęścia, lecz badamy nieszczęście samo; pragniemy poznać samą treść jego i jego prawa. Co było bezwiedną troską pierwszych tragików, co wytwarzało uroczysty cień, jaki mimo ich woli otaczał ostre i gwałtowne ruchy śmierci zewnętrznej, sama natura nieszczęścia, to stało się punktem środkowym dramatów najnowszych, ogniskiem o dwuznacznych blaskach, dokoła

których krążą dusze mężczyzn i kobiet. Zrobiono krok naprzód ku tajemnicy, aby spojrzeć w twarz zgrozom życia.

Byłoby ciekawem zbadać, pod jakim kątem ostatni tragicy nasi patrzą w oczy nieszczęściu, które jest podstawą wszystkich poematów dramatycznych. Widzą je bardziej zbliżona niż Grecy i głębiej je przenikają w płodnych ciemnościach swego wewnętrznego świata. Może to jest bóstwo te same. Lecz oni szczerzej go nie znają. Skąd przychodzi, dokąd idzie, dlaczego przyszło? Grecy zaledwo o to pytali, czy jest w nas wypisane, czy też rodzi się z nami jednocześnie? Czy to ono idzie ku nam na spotkanie, czy raczej przyzwane bywa głosami, które żywimy w najdalszej głębi naszej istoty, a które są w niem w znowie? Trzeba byłoby śledzić z wierzchołka innego jakiego świata zachowanie się człowieka, którego ma nawiedzić jakaś wielka boleść; a któryż człowiek nie pracuje bezwiednie nad wykuciem boleści, która ma być osią jego życia?

Szkoccy wieśniacy posiadają jeden wyraz, który dałby się zastosować ogólnie do wszystkich istnień. W legendach swoich wyrazem Fey oznaczają stan człowieka, kiedy mimo wszelakich wysiłków, mimo wszelkie dobre rady i pomoce, jakiś rodzaj niepokonanego impulsu pociąga go

nieprzeparcie ku nieuniknionej katastrofie. Tak na przykład Jakób I, ten Jakób Katarzyny Duglas był Fey, kiedy mimo najstraszniejszych przepowiedni ziemi, nieba i piekła spieszył na Święta Bożego Narodzenia do zamku Perth, gdzie go oczekiwał zabójca, zdrajca Robert Graeme. Który z nas, jeśli tylko przypomnimy sobie wszystkie okoliczności najbardziej stanowczego nieszczęścia w naszym życiu, nie czuł się również otumanionym w podobnym stopniu? Rozumie się, że mówię tu o nieszczęściach czynnych, które dałyby się uniknąć; bo są i nieszczęścia bierne, jak śmierć ukochanej istoty, które spotykają nas prosto, przeciw którym wszystkie nasze wysiłki pozostają bez wpływu. Wspomnijcie sobie dzień fatalny waszego życia. Któż z nas nie czuł się ostrzeżonym; i chociaż dziś się nam wydaje, że cały nasz los mógłby być zmienionym przez jakiś krok, któregośmy nie postawili, przez jakieś otwarcie drzwi, których nie otworzyliśmy, przez niepodniesienie ręki, kiedy należało ją podnieść, któż z nas jednak nie walczył wówczas bez sił i bez nadziei, na brzegu przepaści, przeciw niewidzialnej sile, która zdawała się być bez żadnej mocy?

Powiew z tych drzwi, które otworzyłem pewnego wieczoru, miał na zawsze zgasić moje szczęście; jak zgasiłby watyły płomyk lampki;

a teraz, kiedy myślę o tem, nie mogę powiedzieć sobie, iż nic nie wiedziałem... A jednak nic ważnego na próg mię nie przywiodło. Mogłem, wzruszywszy ramionami, przejść mimo; żadne ludzkie rozumowanie nie popchnęło mię, abym zapukał do tych drzwi... Żadne ludzkie rozumowanie; przeznaczenie tylko...

* * *

Jest to jeszcze podobne do fatalizmu Edypa, a wszakże innej już jest natury. Dałoby się powiedzieć, że jest to fatalizm dostrzeżony „ab intra“. Są potęgi tajemnicze, które panują w nas samych a zdają się być w zmowie z przygodami życia. Wszyscy nosimy te nieprzyjaciółki w naszej duszy. Wiedzą one, co robią i co każą nam robić; jeśli wiodą nas do zdarzeń, uprzedzają o tem półsłówkami, za blado, aby nas powstrzymać, lecz dostatecznie, abyśmy żalowali, gdy już będzie zapóźno, żeśmy nie usłuchali ich rad niepewnych i szyderskich. Do czego dążą te potęgi, chciwe naszej zguby, jakby były niezależnemi, jakby nie zginęły wraz z nami, mając życie w nas tylko? Co wprawia w ruch wszystkie współniki świata, żywiące się naszą krwią?

Człowiek, dla którego wybiła godzina nieszczęścia, porwany jest w wir niewidzialny, a przez ciąg długich lat potęgi te układają wypadki,

które muszą go doprowadzić do chwili nieuni-
knionej, właśnie do tego punktu, gdzie łyzy go
oczekują. Przypomnijcie sobie wszystkie wasze
wysiłki i przecucia. Przypomnijcie także wszy-
stkie te drobne okoliczności litośne, które drogę
wam zamknąć chciały, a wyście je odtrącili, jak-
by natrętne żebraczki. A były to wszakże biedne
siostry nieśmiałe, które chciały was wyratować;
odeszły, nie rzekłszy słowa, zbyt słabe i zbyt
małe, aby walczyć miały przeciw rzeczy już po-
stanowionym, Bóg wie gdzie...

Zaledwo nieszczęście się dokonało, doznajemy
dziwnego wrażenia, jak gdybyśmy usłuchali od-
wiecznego prawa; i, nie wiem, jakaś pociecha
tajemnicza na łonie największej boleści wynag-
radza nas za posłuszeństwo. Nigdy nie należy-
my wyłącznie do siebie, jak nazajutrz, po nie-
powrotnej katastrofie. Zdaje się nam wówczas,
żeśmy odnaleźli siebie, żeśmy zdobyli nieznaną
a konieczną część naszej istoty. Nastaje niezwy-
kłe uspokojenie. Całymi dniami, niemal bez
naszej wiedzy, gdyśmy uśmiechali się do twa-
rzy ludzkich, do kwiatów, buntownicze siły na-
szej duszy walczyły rozpacznie nad brzegiem
przepaści, a teraz, gdyśmy się znaleźli w jej
głębi, wszystko oddycha spokojnie.

Walczą tak one bez odpoczynku w każdej
z dusz naszych.

Nie zwracając na to uwagi, bo otwieramy oczy tylko na rzeczy bez znaczenia, spostrzegamy niekiedy cienia tych walk, lecz wola nasza nie jest w stanie im przeszkodzić. Zdarza się niekiedy, że gdy przebywam z przyjaciółmi, wśród dźwięku słów i wybuchów śmiechu na twarzy któregoś z nich przemknie coś, co nie jest z tego świata. Bez żadnej przyczyny milczenie zapanuje natychmiast; wszyscy, nie czując tego, patrzą przez chwilę w przestrzeń oczyma duszy. A potem znów uśmiechy i słowa, które zniknęły, jak wystraszone żaby wielkiego jeziora, wynurzą się na powierzchnię jeszcze hałaśliwsze. Lecz już niewidzialne tu, jak na każdym miejscu, wzięło swoją dań. Już się rozumie, że stoczyła się jakaś walka, że jakaś gwiazda podniosła się lub spadła, że czyjeś przeznaczenie zostało postanowionem...

A może przedtem było już postanowionem; i kto wie, czy walka nie była tylko widmem? Jeśli dzisiaj otworzę drzwi domu, gdzie mię spotkają pierwsze uśmiechy smutku, któremu nie będzie już nigdy końca, czynię to może o wiele dawniej niż się zdaje. Po co więc pielęgnować owe ja, nad którym nie mamy prawie żadnego wpływu? Trzeba nam tylko patrzeć w gwiazdę naszą. Jest ona dobra lub zła, jest błada lub potężna; a wszystkie siły morza nie potrafią tu

Skarb pokornych. 9

niczego zmienić. Ci, którzy mogą ufać swej gwieździe, igrają z nią jak z kulą szklaną. Narażają na niebezpieczeństwa, ciskają, gdzie chcą, powróci zawsze, wierna, do ich rąk. Wiedzą dobrze, iż nie może się rozbić. Lecz, iluż jest takich, co zaledwo podniosą oczy na swą gwiazdę, a już zerwie się z firmamentu i w proch się rozsypie u ich stóp...

Niebezpiecznie jest mówić o gwieździe; niebezpiecznie jest nawet marzyć o niej, bo często jest to znakiem, że wkrótce zagaśnie...

Znajdujemy się tu w przepaściach nocy i oczekujemy na to, co ma przyjść. Nie idzie tu o wolę; jesteśmy o tysiące mil ponad nią, w sferze, gdzie sama wola jest najdojrzalszym owocem przeznaczenia. Nie trzeba wszakże się skarżyć: już coś wiemy, jużemy odkryli niektóre zwyczaje wypadku. Czatujemy, jak ptasznik, który podgląda obyczaje ptaków przelotnych; skoro jaki wypadek zaznaczył się na horyzoncie, już wiemy, że nie pozostanie długo samotnym: wnet bracia jego całą gromadą spadną na to samo miejsce. Wiemy niejasno, że przyciągnęły tu ich pewne myśli i pewne dusze i że są istoty, które odwracają ich lot, tak jak są i takie, które je przywołują ze wszystkich stron świata.

Wiemy przedewszystkiem, że pewne idee są nadzwyczaj niebezpieczne, że dość jest poczuć się

na chwilę w bezpiecznym schronieniu, aby tem przyzwać grom, i że szczęście wytwarza próżnię, w którą natychmiast rzucają się lzy. Po niejakić czasie rozróżniamy także lepsze ich strony. Zauważymy wkrótce, że jeśli postąpimy kilka kroków na drodze życia obok jednego z naszych braci, zwyczajnie wypadku nie będą już te same; podczas gdy jesteśmy z tym drugim, wydarzenia natury niezmiennej regularnie będą nas spotykały. Doznamy, że są istoty, które opiekują się w nieznanem, i takie, które przynoszą zgubę; że są te, co usypiają i inne, co budzą przyszłość. Dowiadujemy się jeszcze, że są rzeczy, które rodzą się słabe i z nas czerpią swą siłę i że w każdej przygodzie jest krótka minuta, w której instynkt nas ostrzega, że jesteśmy jeszcze panami losu. Nakoniec, niektórzy śmia twierdzić, że można nauczyć się być szczęśliwym, że w miarę, jak stajemy się lepsi, spotykamy ludzi, którzy się doskonala, że istota, która jest dobra przyciąga nieodbicie wypadki równie dobre jak ona sama i że w pięknej duszy najsmutniejszy los zamienia się w piękno...

Któż tego nie doświadczył, że dobroć porozumiewa się z dobrocią i że to są zawsze ci sami, za których się oddajemy i ci sami, których zdradzamy. Jeśli jednaka boleść puka do obojga drzwi sąsiednich, czyż tak samo zachowa się ona

w domu sprawiedliwego jak i w domu nieprawego; i jeśli jesteście czysti, czyż i wasze nieszczęścia nie będą czystsze? A skoro umiemy przemienić przeszłość w kilka uśmiechów nieco smutnych, nie panujemyż przez to nad przyszłością? I czyż nie zdaje się, że nawet w samym nieuniknionem, potrafimy opóźnić cośkolwiek? Czy nie śpią wielkie wypadki, gdy je budzi zbyt hałaśliwy ruch na horyzoncie, i czy nieszczęście byłoby nadeszło, gdyby dziś rano myśli zbyt świąteczne nie roily się za głośno w naszej duszy? Jestże to wszystko, co nasza mądrość w tych ciemnościach zebrać może? Któż ośmieliłby się powiedzieć, że w tych dziedzinach są prawdy bardziej stałe? A tymczasem, trzeba umieć uśmiechać się, trzeba umieć płakać w cichości, z dobrocią bardzo pokorną, Ponad temi rzeczami wznosi się zwolna niewykończone oblicze przeznaczenia dzisiejszego. Drobną fałd zasłony, która je pokrywała niegdyś, został uchylony, a w odsłonionej części dostrzegliśmy z niepokojem z jednej strony potęgę tych, którzy jeszcze nie żyją, a z drugiej strony potęgę umarłych. A w gruncie rzeczy jest tam tylko nowe oddalenie się od tajemnicy. Powiększyliśmy lodową rękę przeznaczenia, i oto ręce naszych synów nie narodzonych jeszcze w cieniu jej splatają się z rękami naszych przodków. Był

akt, któryśmy sądzili być schroniskiem dla wszystkich wolności naszych; miłość była najwznioślejszą ucieczką dla tych wszystkich, komu okowy życia nazbyt ciążyły. Tu przynajmniej, mówiliśmy sobie, w ustroniu tej świątyni tajemniczej nikt nie wejdzie z nami. Tu możemy odechnąć przez chwilę; tu nareszcie dusza nasza panuje — swobodnie wybierała w tem, co jest centrem wolności samej. A oto naraz powiedziano nam, że nie dla siebie samych kochamy. Powiedziano nam, że nawet w świątyni miłości jesteśmy posłuszni niezmiennym prawom niewidzialnego tłumu. Powiedziano nam, że kiedy wybieramy kochankę, jesteśmy o tysiąc wieków od nas samych, i że pierwszy pocałunek narzeczonego jest nie więcej jak pieczęcią, którą tysiące rąk proszących się urodzić składa na ustach pożądanej matki. A z drugiej strony wiemy, że umarli nie umierają. Wiemy już teraz, że nie naokół kościoła spoczywają, lecz znajdują się we wszystkich naszych domach, we wszystkich przyzwyczajeniach naszych. Że niema jednego gościa, jednej myśli, jednego grzechu, jednej łzy, jednego atomu zdobytej samowiedzy, któreby zginęły w głębokościach ziemi; i że przy najmniej znaczącym czynie przodkowie nasi podnoszą się, nie z grobów swoich, gdzie spo-

czywają nieruchomi, lecz z głębi nas samych, kędy żyją wiecznie.

Tak wiedzie nas przeszłość ku przyszłości. A terażniejszość, która jest naszą istnością zapada w głąb morza, jak mała wysepka szarpana bez litości przez dwa nieprzejednane oceany. Dziedziczność, wola, przeznaczenie, wszystko w naszej duszy miesza się zgiełkliwie; jedna tylko panuje po nad tem wszystkim i mimo wszystko, gwiazda milcząca. Na wazy olbrzymie, zawierające w sobie niewidzialne, kładą tymczasowe nadpisy; lecz słowa nie mówią nic z tego, co trzeba powiedzieć. A wszystko ma prawo być bardziej jeszcze tajemniczem. Dziedziczność czy samo przeznaczenie nie jest niczem innym, jak uronionym w noc tajemniczą promieniem tej gwiazdy, „Nazywamy przeznaczeniem wszystko, co nas ogranicza“, powiedział jeden z wielkich mędrców naszych czasów; i dlatego powinniśmy mieć uznanie dla tych wszystkich, którzy próbując dotykają palcami tych granic „Jeśli jesteśmy brutalni i barbarzyńcy — mówi dalej — fatalizm przyjmuje formę brutalną i barbarzyńską. Kiedy stajemy się subtelniejsi, zasadzki na nas subtelniejszą także. Jeśli podnosimy się do kultury duchowej, antagonizm bierze także formę duchową“. Może to jest prawda, że dusza nasza, w miarę jak się podnosi, robi czystsze swoje

przeznaczenie; chociaż i to jest prawdą, że jednakowe smutki grożą nam i barbarzyńcom. Lecz my mamy inne jeszcze, których tamci nie podejrzewają nawet; i duch nasz wznosi się dlatego, aby odkrywał coraz to nowe smutki, na wszystkich horyzontach w okół. „Nazywamy przeznaczeniem wszystko, co nas ogranicza“. Starajmy się, aby przeznaczenie nie było zbyt ciasnem. Pięknie jest powiększać swoje smutki, ponieważ znaczy to rozszerzać swoją samowiedzę, jedyne miejsce, w którym się czuje, że się żyje. I jest to także jedyny środek wypełnienia swego najwyższego obowiązku względem innych światów; ponieważ nam to prawdopodobnie przypadło w udziale powiększyć samowiedzę Ziemi.

DOBROĆ NIEWIDZIALNA.



est to coś takiego — mówił mi pewnego wieczora ów mędrzec, którego spotkałem przypadkiem na brzegu oceanu szemrzącego z cicha, — jest to coś, czego się nie spostrzega, na co nikt nie liczy; a jednak, zdaniem mojem, jest to jedna z tych sił, które utrzymują byt istot. Bogowie, z których urodziliśmy się, objawiają się w nas różnymi sposobami; lecz ta dobroć ukryta, której nie zauważono, i o której nikt nigdy nie mówił dość wyraźnie, jest może najczystszyznakiem ich życia wiecznego. Nie wiadomo, skąd ona pochodzi. Ona tylko poprostu uśmiecha się na progu naszej duszy, i ci, w których uśmiecha się głębiej lub częściej, jeśli zechcą, każą nam cierpieć dzień i noc, a nie będziemy w stanie zaprzestać ich kochać...

Dobroć ta nie jest z tego świata, a jednak miesza się do większej części naszych czynów. Nie zadaje nawet sobie pracy, ukazać się chociażby w wejrzeniu lub we łzie. Owszem, ukrywa się starannie, z powodów których odgadnąć nie sposób. Zdawałoby się, że się obawia nadużyć swojej władzy. Wie, że każdy jej ruch,

najbardziej mimowolny, zrodzi dokoła niej rzeczy nieśmiertelne; a jesteśmy chciwi rzeczy nieśmiertelnych. Dlaczego zatem tak się obawiamy czerpać z nieba, które w nas przebywa? Nie mamy odwagi postępować według Boga, który nas ożywia. Boimy się wszystkiego, co się nie objawia gestem lub słowem, i zamykamy oczy na to, co wbrew nas samych czynimy w państwie, gdzie wszelkie tłumaczenia są zbyteczne. Skąd więc pochodzi ta bojaźń boskości w ludziach? Zaprawdę, można byłoby powiedzieć, że czem bardziej jakiś ruch duszy zbliża ją ku boskości, tem więcej dokładamy starań, aby go ukryć przed oczyma naszych braci. Jestże człowiek czem innem, niż wiecznie bojącym się bogiem? czy też jest nam wzbronione zdradzać potęgi wyższe? Wszystko, co nie należy do tego świata, aż nazbyt widzialnego, ma w sobie coś z lękliwości małej chorej dziewczynki, której nie przywoływa matka, gdy obcy wchodzą do domu. I dlatego to nasza dobroć tajemna nie przestąpiła dotąd nigdy milczących wrót naszej duszy. Ona w nas żyje jak więzień, któremu nie pozwalają zbliżyć się do kraty. Zresztą nie trzeba, aby się zbliżał. Dość, że tam jest. Może się sobie chować najstaranniej, skoro tylko podniesie głowę, skoro przesunie ogniwo swoich więzów lub rękę podniesie, więzienie się rozwidni, otwo-

rzą się okna pod naciskiem wewnętrznych jasności, i nagle otworzy się przepaść pełna aniołów, snujących się między słowami i istotami wszystko milknie, wejrzenia odwracają się na chwilę, i dwie dusze z płaczem rzucają się sobie w ramiona na progu...

Nie jest to coś, coby pochodziło z naszej ziemi, i wszelkie opisy nie zdadzą się na nic. Trzeba, aby ci, którzy chcą mnie zrozumieć, mieli w sobie także ten sam punkt czuły. Jeśli nigdy w życiu nie doświadczyliście, potęgi waszej dobroci niewidzialnej, nie idźcie dalej; byłoby to bezużytecznem. Lecz czyż są tacy, którzyby nigdy nie doświadczyli tej potęgi; czyż i najgorsi z nas nie byli nigdy niewidzialnie dobrymi? Nie wiem; tyle jest istot na tej ziemi, które myślą tylko o tem, jakby ubezwładnić boskie w swojej duszy. A jednak dość jednej chwili wyczynku, aby boskie się podniosło, a i najgorsi nie mogą czuwać nad sobą bez wytchnienia; i dlatego to pewno tylu jest złych, którzy są dobrymi niewidzialnie, podczas gdy wielu mędrców i wielu świętych nie mają tej niewidzialnej dobroci.

Nieraz jeden — ciągnął dalej — byłem sprawcą cierpienia; każda istota rozsiewa dokoła siebie cierpienie. Sprawiałem ból, bo żyjemy w świecie, gdzie wszystko sprzęgnięte jest niewidzial-

nemi nicmi, w świecie, gdzie nikt nie żyje samotnie; gdzie najśłodszy gest dobroci lub miłości rani tak często znajdującą się obok nas niewinność! Sprawiałem cierpienie, bo i najlepsi i najczulsi z nas potrzebują nieraz odnaleźć, nie wiem, jaką cząstkę samych siebie w cierpieniach drugiego. Zaprawdę, są takie ziarna, które kiełkują w naszej duszy jedynie pod deszczem łez, wylanych z naszego powodu; a wszakże te ziarna wydają dobre kwiaty i zbawcze owoce. Cóż chcecie? Nie stworzyliśmy tego prawa; i nie wiem, czy ośmieliłbym się kochać człowieka, który łez nie przelał niczyich. Często bardzo ci, którzy kochali najlepiej, najwięcej cierpieć kazali, jakieś bowiem okrucieństwo czułe a nieśmiałe jest zwykle niespokojną siostrą miłości. Miłość na każdym miejscu szuka dowodów miłości, a któż nie jest skłonny szukać tych pierwszych dowodów w łzach swej ukochanej?

Śmierć sama nie zdołałaby upewnić kochanka, gdyby zechciał słuchać wymagań miłości; chwila śmierci wydaje się zbyt krótką dla serdecznego okrucieństwa miłości; po przez śmierć jeszcze jest miejsce na całe morze zwątpień; nawet i ci, którzy umierają razem, może nie umierają bez niepokojów. Tu trzeba długich i powolnych łez. Cierpienie jest pierwszym pożywieniem miłości; i każda miłość, jeśli się nie żywi choć trochę

czystego cierpienia, umiera, jakby umarło nowonarodzone dziecko, gdyby mu podano pokarm człowieka. Czyż jednostajnie kochacie tę, która zawsze usta wasze okrasza uśmiechem, jak i tę, która niekiedy płakać wam każe? Niestety, trzeba, aby miłość płakała, i często bardzo w chwili, gdy wybuchają łkania, kuja się właśnie okowy miłości i hartują na życie całe...

Sprawiałem cierpienie, bo kochałem — mówił jeszcze — sprawiałem cierpienie, bo już nie kochałem. Lecz coż za różnica między temi dwoma cierpieniami! Tam, powolne łyzy wypróbowanej miłości zdawały się wiedzieć w głębi swej własnej, że zlewają w naszych dwóch duszach złączonych, coś niewypowiedzialnego, tu te łyzy biedne wiedziały same, że padają samotne jakby w pustynię. I tu właśnie, w tych chwilach, kiedy dusza staje się cała słuchem, raczej całą duszą, poznałem potęgę niewidzialnej dobroci, która umiała do łoż umierającej miłości dodać boskie złudzenia miłości, która ma się narodzić. Czy nie mieliście nigdy takiego smutnego wieczoru, kiedy zwątpiałe pocałunki nie mogą już się uśmiechać, kiedy dusza uczuje наконец, że jest oszukana. Słowa dźwięczały z trudem w chłodnem powietrzu stanowczej rozłąki; mieliście się oddalić od siebie na zawsze i ręce wasze prawie bez życia wyciągały się ku pożegnaniu bezpowrotnego

odejścia; gdy nagle dusza, sama w sobie, robiła ruch nieuchwytny. Druga dusza drgnęła natychmiast na wyżynach istnienia, rodziło się coś o wiele wyżej niż miłość znużonych kochanków, i chociaż ciała się rozłączały, dusze nie zapomną już nigdy, że przez jedną chwilę patrzyły na siebie po przez niewidziane dotąd wyżyny, i że na jedno mgnienie oka były dobre tą dobrocią, której dotąd jeszcze nie znały...

Cóż to więc jest ten ruch tajemniczy, o którym mówiłem tu jedynie w zastosowaniu do miłości, lecz który może mieć miejsce w najdrobniejszych okolicznościach życia? Jest że to, nie wiem, jakieś zaofiarowanie się czy jakiś uścisk wewnętrzny, głębokie pożądanie być duszą dla drugiej duszy albo czułe poczucie obecności życia niewidzialnego a równego naszemu? Jestże to to, co jest zachwycającego i smutnego w samym fakcie życia, lub ten obraz życia jednego i niepodzielnego, które w takich chwilach zalewa całą naszą duszę?

— Nie wiem tego, lecz zaprawdę, wtedy tylko czujemy, że jest gdzieś siła nieznaną, że jesteśmy skarbem, nie wiem, jakiego Boga, który kocha wszystko, że żaden ruch tego Boga nie ginie niedostrzeżony i że się jest nakoniec w dziedzinach rzeczy, które nie zdradzą nigdy...

Prawda, że od urodzenia aż do śmierci nie

wychodzimy nigdy z tej dziedziny określonej ściśle, ale błakamy się w Bogu, jak biedni sonambulicy, albo jak ślepi, szukający rozpacznie świątyni, w której właśnie się znajdują. Jesteśmy tu, w życiu, człowiek przeciw człowiekowi, dusza przeciw duszy, dni i noce przechodzą nam pod bronią. Nie widzimy się, nie dotykamy siebie. Nie widzimy nic więcej, jak tylko hełmy i tarcze, dotykamy tylko żelaza i bronzu. Lecz niechże drobna jaka okoliczność spadła z prostoty niebios, rozbroi nas na chwilę, czy nie znajdujemy zawsze pod hełmem łez, poza tarczą uśmiechów dziecka, i czy nie dostrzeżemy innej jakiej prawdy?

Zamyślił się znowu, a potem ciągnął dalej smutnie: Kobieta, zdaje mi się, mówiłem to przed chwilą, kobieta, której sprawiłem cierpienie — bo najuważniejsi rozsiewają bezwiednie dokoła siebie cierpienie — kobieta, której pomimowoli sprawiłem ból, pewnego wieczoru odkryła mi wszechwładną potęgę tej niewidzialnej dobroci. Trzeba cierpieć, aby być dobrym, lecz może trzeba sprawić cierpienie, aby stać się lepszym. Doświadczyłem tego w ów wieczór. Czuję, jak gdybym przybył sam w ten smutny okrąg pocałunków, gdzie się wydaje, że odwiedzamy chaty ubogich, podczas gdy spóźniająca się kochanka uśmiecha się jeszcze w pałacach

z pierwszych dni. Miłość taka, jak ją rozumieją ludzie, umierała między nami, jak dziecię dotknięte złem spadłem nie wiadomo skąd i bezlitośnem. Nie rzekliśmy nic do siebie. Nie wiem nawet, o czym myślałem, w tę chwilę tak bardzo ważną. Zapewne o rzeczach bez znaczenia, o ostatniej twarzy spotkanej, o drżącym świetle latarni, gdzieś na rogu mostu pustej ulicy nadbrzeżnej — a jednak wszystko się dokonało w świetle tysięcy razy czystsze i wyższe, niż gdyby w grę weszły wszystkie potęgi litości i miłości, któremi rozporządzam w swem sercu i myślach. Rozstaliśmy się, nie rzekłszy słowa, lecz w tymże czasie zrozumieliśmy nasze myśli niewypowiedziane. Wiemy, że narodziła się inna miłość, która nie potrzebuje słów, ani drobnych zabiegów, ani uśmiechów miłości zwyczajnej. Nie widzieliśmy się odtąd, nie zobaczymy się może przez wieki całe. „Musimy zapewne zapomnieć wiele rzeczy, dowiedzieć się o wielu innych, w czasie naszej wędrówki przez światy, które przejść mamy, „zanim znajdziemy się w tym samym ruchu duszy, w jakim byliśmy owego wieczoru. Lecz mamy czas czekać jeszcze...

Odtąd wielbiłem na każdym miejscu, aż do głębi chwil najbardziej gorzkich, dobroczynną obecność tej mocy cudownej. Dostyc jest raz ją widzieć jasno, aby już nie módz nigdy uniknąć

jej twarzy. Ujrzycie ją często uśmiechającą się w najdalszych schroniskach nienawiści i w głębi łąz najokrutniejszych. A jednak nie ukazuje się naszym oczom cielesnym. Jak tylko wykaże się w jakim akcie zewnętrznym, zmienia odrazu swą naturę; i już nie jesteśmy w prawdzie względem duszy, lecz w rodzaju kłamstwa względem ludzi. Dobroć i miłość, które wiedzą o sobie, nie mają żadnej władzy nad duszami, bo wyszły z królestwa, w którym żyły; lecz dopóki są ślepiemi, mogą rozczulić nawet Przeznaczenie samo. Nie jednego znałem, który spełniał wszystkie uczynki dobroci i miłosierdzia, nie dosięgnąwszy ani jednej duszy, i znałem również takich, którzy zdawali się żyć w kłamstwie i niesprawiedliwości a nie robili wszakże zła tym samym duszom i nikt nie mógł na chwilę wątpić, że są dobrzy. Co więcej, ci nawet, którzy was nie znają wcale, którym poprostu przynoszą wasze czyny dobroci i wasze uczynki miłosierdzia, ci nawet będą coś podejrzawać, jeśli nie jesteście dobrzy dobrocią niewidzialną, i nie uczują się nigdy dotknięci do samych głębin swej istoty. Jak gdyby kędyś było takie miejsce, gdzie w obecności duchów wszystko kładzie się na wagę albo lepiej, jakby po tamtej stronie nocy było jakieś źródło pewności, do którego niema trzoda dusz biegnie pić co rana.

Może nie wiedzą jeszcze, co znaczy słowo kochać. Są w głębi nas życia, w których kochamy nie wiedząc. Kochać tak, to nie jest mieć litość, poświęcać się wewnętrznie, chcieć pomagać i uszczęśliwiać; jest to coś o wiele głębszego niż ludzkie słowa najbardziej słodkie, najbardziej wymowne, najbardziej silne powiązać mogą. Chwilami można byłoby powiedzieć, że jest to wkradające się a nadzwyczaj przenikające wspomnienie wielkiej jedności pierwotnej. W tej miłości jest siła, której nic oprzeć się nie zdoła. Któż z nas, jeśli badać siebie będziemy ze strony światła, na które zwykle się nie zważa, któż z nas nie odnajdzie w sobie wspomnienia pewnych dziwnych dzieł tej siły? Któż z nas, może obok zupełnie obojętnej istoty, nie uczuwał nagle, że nadeszło coś, czego nikt nie przywoływał? Byłaż to dusza, czy może życie, co się zwracało ku sobie samemu, jak śpiący, który się budzi? Nie wiem; wy także nie wiedzieliście i nie mówiliście o tem; lecz już nie rozłączycie się tak, jak gdyby nic nie zaszło.

Kochać tak, to kochać według duszy; i niema duszy, któraby nie odpowiedziała na taką miłość. Bo dusza ludzka jest biesiadnikiem od wieków zgłodniałym i niema potrzeby przyzywać ją dwa razy na ucztę weselną.

Wszystkie dusze naszych braci krążą dokoła

nas bezustannie żądne pocałunku, oczekujące tylko znaku. Lecz ileż jest takich, którzy nie odważyli się nigdy w ciągu swego życia dać chociażby znak jeden! Jest to nieszczęście całego naszego istnienia, że tak żyjemy zdała od naszej duszy, że obawiamy się najmniejszego z jej ruchów. Gdybyśmy tylko jej pozwolili uśmiechać się szczerze w jej ciszy i świetle, już byśmy żyli życiem wieczności. Dość jest tylko uważać przez chwilę, do czego ona dojść może w tych rzadkich minutach, kiedy nie myślimy skuwać ją jak szaleńca; w miłości naprzykład, gdzie pozwalamy jej zbliżyć się czasami do krat życia wewnętrznego. A czy nie należałoby według prawdy pierwotnej, aby w życiu wszystkie istoty czuły się wobec nas, jak kochanka wobec kochającego?

Ta niewidzialna i boska dobroć, o której tu mówię, bo jest najbliższym i najpewniejszym znakiem nieustannej czynności naszej duszy, ta dobroć boska i niewidzialna wyszlachetnia najdzielniej wszystko, czego dotknie bezwiednie. Niech ci wszyscy, którzy skarżą się na jakąś istotę, zstąpią w samych siebie i spytają, czy byli zawsze względem niej dobrymi? Co do mnie, nie spotkałem nigdy takiego, któryby, jeśli moja dobroć niewidzialna się poruszy, nie stał się w tej samej chwili lepszym odemnie.

Bądźcie dobrzy w swych głębiach, a zobaczycie, że ci, którzy was otaczają, staną się dobrzy do tej samej głębokości. Nic niezawodniej nie odpowiada na poryw tajemny dobroci jak tajemny okrzyk dobroci sąsiedniej. Jeśli będziecie dobrymi czynnie w niewidzialnym, wszyscy, którzy do was się zbliżą, będą spełniać czyny, których nie spełnialiby obok innego człowieka. Jest w tem siła, która nie posiada nazwy; jakieś współzawodnictwo duchowe niepokonane. Można byłoby powiedzieć, że tu właśnie znajduje się strona najczulsza dusz naszych; bo są dusze, które zdają się zapominać o swoim istnieniu, odmawiają wszystkiemu, co może je podnieść; lecz niech tylko zostaną dotknięte w tem miejscu, podnoszą się wszystkie; na boskich polach dobroci tajemnej najnędniejsza z duszy nie znosi porażki.

A jednak możebnem jest, że nic się nie zmieni w waszem życiu widzialnem; lecz czyż tylko to jedno jest ważnem? czy istniejemy tylko w tych czynach, które można wziąć do rąk jak kamyki na gościńcu? i jeśli pytacie siebie, jak mówią, że każdego wieczoru pytać siebie należy: „Co nieśmiertelnego uczyniłem dzisiaj?“ czy macie zawsze szukać wśród tych rzeczy, które można policzyć, zważyć i zmierzyć bez błędu! Może się zdarzyć, że wyciśniecie jakieś łzy niezwykłe, że

czyjeś serce napelnicie niesłychanemi pewnością, że dacie życie wieczne jakiejś duszy, a nikt tego nie spostrzeże, nawet wy sami o tem wiedzieć nie będziecie. Może się zdarzyć, że nic się nie zmieni; może się zdarzyć, że pod próbą wszystko się skruszy i że ta dobroć ustąpi przed najmniejszą obawą.

Nic to nie znaczy. Coś boskiego się stało i kędyś nasz Bóg uśmiechać się musi. Nie jestże może najwyższy cel życia, tak odradzać w sobie niewytłumaczone; i wiemyż, co pomnażamy w sobie, budząc tak niepoznawalne, co drzemie po wszystkich zakątkach? Tu, rozbudziliście miłość, która już nie zaśnie więcej. Dusza, którą wasza dusza spostrzegła, z którą przelewaliście razem święte łzy o niewidzialnej radości świętecznej, nie uczuje nigdy żalu do was, nawet pośród mąk. Nie uczuje nawet potrzeby przebaczenia. Ona jest pewną, niewiadomo skąd, że nic odtąd nie potrafi zgasić lub przytłumić jej uśmiechu wewnętrznego, nic bowiem nie zdoła rozdzielić dwóch dusz, które przez jedną chwilę „były wspólnie dobremi“.

ŻYCIE GŁĘBOKIE.



obrze jest przypominać ludziom, że i najniższy z nich „ma możliwość wyrzeźbić, podług boskiego modelu, którego zresztą sam nie wybiera, wielką postać, złożoną z dwóch równych części, jego samego i ideału; i że to, co żyje z pełną rzeczywistością, jest tem samym właśnie!

Trzeba, aby każdy człowiek znalazł dla siebie możliwość życia wyższego, w nędznej, a nieuniknionej rzeczywistości powszedniej. Życie nasze nie ma ponad ten, szlachetniejszego celu. To co odróżnia nas wzajemnie od siebie, to są nasze stosunki z nieskończonem. Bohater dlatego tylko większym jest od nędzarza, obok niego żyjącego, że w jakiejś pewnej chwili swego istnienia doświadczył żywszego poczucia tych stosunków. Jeśli jest prawdą, że twórczość nie zatrzymuje się na człowieku i że otaczają nas istoty wyższe a niewidzialne, te istoty są wyższe od nas tem jedynie, że mają stosunki z nieskończonem, o jakich my nawet wyobrażenia mieć nie możemy.

W naszej jest mocy rozszerzyć te stosunki. W życiu każdego człowieka był dzień, kiedy niebo otwarło się samo przez się, i prawie za-

wsze od tej chwili datuje się prawdziwa osobowość duchowa człowieka. W tej to chwili zapewne utworzyło się niewidzialne a wieczne oblicze, które ukazujemy bezwiednie aniołom i duszom. Ale dla większości ludzi niebo otwiera się jedynie wypadkowo. Oni sami nie wybierali oblicza, po którym aniołowie poznają ich w nieskończonym, oni nie umieją wyszlachetnić i podnieść czystości swych rysów. Urodzili się z radości, smutku, ze strachu lub jakiejś myśli przypadkowej.

Rodzimy się naprawdę w tym dniu, kiedy po raz pierwszy uczujemy głęboko, że jest coś w życiu ważnego i nieoczekiwanego. Jedni skonstatują natychmiast, że nie są sami pod niebem. Inni dając pocałunek i przelewając łzy spostrzegą nagle, że „źródło wszystkiego, co jest lepsze i świętsze, od wszechświata aż do Boga, ukrywa się poza ciemnością nocy, pełnej gwiazd nazbyt dalekich“. Trzeci dostrzegł rękę boską między radością swą a nieszczęściem; a inny jeszcze zrozumiał, że umarli mają słuszność. Ten litował się, tamten uwielbiał, tamten jeszcze obawiał się. Bardzo często dość jest czegoś zupełnie małego: słowa, gestu, czegoś, co nie jest nawet myślą. „Pierwej kochałem cię jak brata“, mówi bohater Szekspira, pełen uwielbienia wobec jakiegoś czynu; „pierwej kochałem cię jak brata, ale te-

raz szanuję cię jak moją duszę“. Dnia tego prawdopodobnie urodziła się jedna istota.

Tym sposobem możemy się rodzić nie raz jeden; a za każdym z tych narodzin przybliżamy się nieco do naszego Boga. Lecz prawie zawsze zadowaliamy się oczekiwaniem, aż jakiś wypadek pełen niepokonanego światła wpadnie gwałtownie w nasze ciemności i mimo naszej woli nas oświeci. Oczekujemy, nie wiem, jakiego szczęśliwego zbiegu wypadków, gdzie oczy naszej duszy otworzą się przypadkiem w chwili, gdy jakaś rzecz nadzwyczajna nas spotyka. Lecz światło jest we wszystkim, co nas spotyka; i najwięksi z ludzi dlatego byli wielkimi, że mieli zwyczaj otwierać oczy na wszystkie światła. Jestże niezbędnem, aby matka konała w waszych objęciach, aby wasze dzieci zginęły na morzu, abyście sami przeszli obok śmierci, dlatego byście pojęli na koniec, że znajdujecie się w świecie, gdzie musicie żyć zawsze i gdzie niewidzialny Bóg przemieszkuje wiecznie, sam ze swemi stworzeniami? Jestże niezbędnem, aby wasza narzeczona spłonęła w pożarze lub aby zapadła w waszych oczach w zielone głębie oceanu dlatego, byście dostrzegli na chwilę, że ostateczne krańce królestwa miłości idą o wiele dalej niż prawie niewidzialne płomienie Miry, Altaira, i Włosów Bereniki? Gdybyście mieli oczy otwarte,

czyżbyście nie dostrzegli w jednym pocałunku tego, co spostrzegacie dzisiaj w katastrofie? Alboż koniecznie trzeba, aby boleść uderzeniem miecza rozbudziła boskie wspomnienia, które śpią w waszej duszy? Mędrzec nie potrzebuje tych wstrząśnień. On widzi łzę, giest dziewicy, spadającą kroplę wody; wsłuchuje się w przeplatującą myśl, uściska dłoń brata, przybliży usta do ust, a zawsze oczy i duszę ma otwarte. On może widzieć bezustannie to, co wyście tylko wzrokiem pochwycili przez chwilę; i jeden uśmiech prosty nauczy go bez trudu tego, co wam odłoni burza lub ręka śmierci samej.

Bo cóż to jest w gruncie rzeczy, co nazywają „Mądrością“, „Cnotą“, „Bohaterstwem“ i „wzniosłą godziną“ i „wielką chwilą“ życia? Czyż nie są to chwile, w których mniej więcej wyszło się z siebie, w których można się zatrzymać, choćby na jedno mgnienie, na progu drzwi wieczności, skąd da się już dostrzedz, że i najmniejszy krzyk, myśl najbledsza, giest najślabszy nie padają w nicość; a jeśliby nawet padały, sam ich upadek jest tak niezmierny, że jest w stanie nadać wszechwładny charakter naszemu życiu. Dlaczego czekacie, aż firmament otworzy się przy huku piorunów? Trzeba uważać na te minuty szczęśliwe, kiedy otwiera się w ciszy, a otwiera się bezustannie. Szukacie Boga w wa-

szem życiu, a Bóg się nie ukazuje, mówicie nam. Lecz któreż życie nie ma tysiąca chwil, podobnych do tej chwili dramatu, kiedy wszyscy oczekują na zjawienie się boskie a nikt go nie spostrzega, aż póki jakaś myśl niewidzialna, która drgnie w duszy umierającego, nie objawi się nagle i starzec łkając z radości i przerażenia, wykrzyknie: „Ależ to Bóg, to sam Bóg!“

Czyż zawsze trzeba, aby nas uprzedzano i czy nie możemy upaść na kolana, jeśli znajdzie się ktoś taki, co powie, że Bóg tędy przechodzi? Jeśli kiedy kochaliście głęboko, nikt nie potrzebował wam mówić, że wasza dusza była czemś tak wielkiem, jak światy; że gwiazdy, kwiaty, fale nocy i fale morza nie były wcale samotne, że nic się nie kończyło i nic się nie zaczynało na progu pozorów; i że te same usta, które całujecie, należą do istoty o wiele wyższej, piękniejszej i czystszej niż ta, którą ramiona wasze obejmują. Spostrzegliście wówczas, że w życie nie patrzy się bez upojenia. Lecz czyż nie można żyć, jakby kochało się zawsze? Bohaterowie i święci nie żyli inaczej. Ach, zaiste, oczekujemy trochę za długo; tak jak ci ślepi z legendy, co odbyli długą drogę, aby posłyszeć swego Boga. Siedzieli długo na stopniach, a kiedy ktoś ich zapytał, co robią w przedsionku świątyni: „Czekamy — odpowiedzieli, schylając głó-

wy — lecz Bóg nie wyrzekł jeszcze ani słowa“. A nie widzieli, że drzwi spiżowe są zamknięte i nie słyszeli, że głos ich Boga rozbrzmiewa już w świątyni. Nasz Bóg nie przestaje mówić ani na chwilę; ale nikt nie myśli uchylić drzwi. A jednak, gdyby chciano to uczynić, nie byłoby trudno przy każdym wypadku usłyszeć to słowo, które Bóg mówi.

Żyjemy wszyscy we wzniosłem. Gdzież bo chcecie, abyśmy żyli? W życiu niema innego miejsca. Jeśli czego nam braknie, to nie sposobności życia w niebiosach; to raczej uwagi i skupienia; to może trochę upojenia duszy. Jeśli macie jeden tylko mały pokoiik, — czyż myślicie, że Boga tam niema; i że nie można prowadzić tam życia choć trochę wzniosłego? Jeśli skarżycie się na samotność, na brak wypadków, że nikt was nie kocha, że nie kochacie nikogo, czy sądzicie, że słowa te nie są mylne? że jest możebna być samotnym, że miłość jest rzeczą świadomą, którą można zobaczyć, że wypadki ciążą jak złoto i srebro okupu? Czy jakaś myśl żywa — wspaniała czy biedna, wszystko to jedno; skoro tylko idzie wam z duszy, jest wielką dla was; — czy jakieś górne żądanie lub poprostu chwila uroczystej uwagi nie mogą wkroczyć do małego pokoju? A jeśli nie kochacie, albo was nie kochają, a mimo to zdoła-

cie z pewną siłą nawet widzieć tysiące pięknych rzeczy, że dusza jest wielką, że życie jest wspa-
niałe niemal niewymownie, czyż nie jest to rów-
nie pięknem, jak gdyby was kochano, lub jak
gdybyście sami kochali? A jeśliby samo niebo
było skryte przed wami „czyż wielkie niebo
z gwiazdami, mówi poeta, nie rozciąga się mimo
wszystko nad waszą duszą, w postaci śmierci?“...
Wszystko, co nam się zdarza, jest dziwnie wiel-
kiem, i znachodzimy się zawsze w centrum wiel-
kiego świata. Lecz trzeba nauczyć się żyć, jak
nowonarodzony anioł, jak kochająca kobieta, jak
starzec, który ma umrzeć. Jeślibyście wiedzieli,
że macie umrzeć tego wieczoru, lub poprostu
oddalić się stąd na zawsze, czy patrzylibyście na
osoby lub rzeczy tak, jakżeście dotąd na nie pa-
trzyli? I czy nie będziecie kochać tak, jakżeście
nigdy jeszcze nie kochali? Czy dobro czy też
zło pozornych postaci wzrośnie dokoła was?
Macież dar spostrzegać piękno, czy brzydotę
dusz? Czy wówczas wszystko aż do zła nawet
i do cierpień nie zamieni się w jedną miłość,
pełną łez bardzo słodkich? Czy każda sposobność
przebaczania, jak mówi mędrzec, nie ujmie coś-
kolwiek z goryczy odjazdu lub śmierci? I czy
w tych jasnościach, smutku lub śmierci ostatni
krok, jeśli dozwolonem będzie go uczynić, zwróci
się ku prawdzie czy ku błędom?

Czy to żyjący, czy raczej umierający umieją widzieć i mają więcej słuszności? Ach, po sto-kroć szczęśliwi ci, co myśleli, mówili, działali tak, iżby umierający lub tacy, których wielka boleść uczyniła jasnowidzącymi, przyznali im słuszność. Niema ponad tę słodszej nagrody dla mędrca, którego w życiu nikt nie słuchał. Nie niepokójcie się, jeśli żyliście w pięknościach ciemnych. Godzina najwyższej sprawiedliwości uderzy zawsze w sercu każdego człowieka. a nie-szczęście otworzy oczy, nawet te, które zawsze były zamknięte.

Któż wie, czy nie przesuwacie się w tej chwili przez duszę umierającego jak cień takiego, który poznał już prawdę? Czy czasem nie na łożu konających splata się prawdziwa i najdroższa korona mędrca, bohatera i tych wszystkich, którzy umieli żyć poważnie w wysokich, czystych a zamkniętych w sobie smutkach życia według duszy?

„Śmierć, mówi Lovater, nie tylko upiększa nasze kształty martwe, lecz sama myśl o śmierci daje kształt piękniejszy samemu życiu?”

I zarówno, każda myśl nieskończoności, jak śmierć, upiększa nasze życie. Ale nie należy się mylić. Każdy człowiek miewa myśli szlachetne, które jak białe ptaki przesuwiają się mu przez serce. Niestety! one nie mają znaczenia; są to

obcy przybysze, na których patrzy się ze zdziwieniem, a usuwa się nagłym ruchem ręki. Nie mają czasu dotknąć naszego życia. Aby dusza nasza stała się poważną i głęboką jak dusza aniołów, nie dość jest zobaczyć na chwilę świat w cieniu wieczności lub śmierci, albo w światłach radości czy w płomieniach piękna i miłości. Każda istota miała takie chwile, i zostawiły w niej tylko garstkę bezużytecznych popiołów. Tu zamało jest przypadku; tu trzeba przyzwyczajenia. Trzeba nauczyć się żyć ciągle w powadze i w pięknie.

W życiu, istoty najbardziej niskie, rozróżniają wybornie, jakie rzeczy szlachetne i piękne spełniać należy; lecz te rzeczy szlachetne i piękne nie mają w nich dość mocy. Właśnie tę moc niewidzialną, oderwaną, starać się musimy coraz w sobie powiększać. A moc ta zwiększa się tylko u tych, którzy nabrali zwyczaju zatrzymywać się częściej niż inni na szczytach, kędy życie zdobywa duszę, skąd widać jak każdy czyn i myśl każda są nieodłącznie związane z czemś wielkiem i nieśmiertelnem. Uważajcie ludzi i rzeczy według kształtu i żądania waszego oka wewnętrznego, lecz nie zapomnijcie, że cień, jaki rzucają w przechodzie na wzgórza lub na mury, jest tylko przelotnym obrazem potężniejszego cienia, który jak skrzydło nieśmiertelnego łabę-

dzia rozciągnie się nad każdą duszą, która do ich duszy się zbliży. Nie sądźcie, aby takie myśli były poprostu ozdobą i nie miały żadnego wpływu na życie tych, którzy je pielęgnują. Mniej znaczy przetworzyć to życie, niż je spostrzedz, bo skoro już tylko jest spostrzeżone, samo się przetwarza. Te myśli, o których mówię, stanowią tajemny skarb heroizmu, a kiedy życie zmusi nas otworzyć ów skarbiec, zdziwimy się wielce, że nie znajdziemy tam innych sił prócz tych, które nas skierują ku doskonałemu pięknu. Nie będziemy już wtedy potrzebowali, aby jakiś wielki król umierając, przypomniał nam: „że świat nie kończy się na progach domów;“ wystarczy rzeczy najdrobniejszej, aby co wieczór uszlachetnić duszę.

Jednak powtarzając sobie, że Bóg jest wielki i że poruszacie się w jego jasności, nie będziecie żyć jeszcze w pięknie i w płodnych głębokościach, w jakich żyli bohaterowie. Możecie przypominać sobie co wieczora i ranka, że dłonie wszystkich niewidzialnych potęg poruszają się nad głowami waszemi niby namiot o niezliczonych fałdach, nie spostrzeżecie wszakże najmniejszego ruchu tych dłoni. Należy być niezmordowanie uważnym; lepiej jest czuwać na placu publicznym niż usnąć w świątyni.

Piękno i wielkość są w każdej rzeczy; dość jest bowiem nieoczekiwanej okoliczności, aby się nam ukazały. Większość ludzi wie o tem; lecz mogą sobie wiedzieć w najlepsze, a jedynie pod uderzeniem losu lub śmierci zaczną krążyć przed murem istnienia w poszukiwaniach za szparą, przez którą możnaby dojrzeć Boga. A wiedzą dobrze, że i w ścianach biednej chatki znajdują się także szpary, i że najdrobniejsze szybki nie ujmą żadnej linii ani żadnej gwiazdy z obszarów niebieskich. Lecz nie dość jest posiadać prawdę, trzeba aby prawda nas posiadała.

A jednak jesteśmy w świecie, gdzie najmniejsze wypadki bez trudu ściągają ku sobie piękno coraz czystsze, coraz wyższe. Nic łatwiej nie spływa się razem, jak niebo i ziemia; i jeżeli spoglądaliście na gwiazdy, zanim w ramiona ujęliście kochankę, ucałujecie ją inaczej, niż wówczas, kiedy widzieliście tylko ściany swojego pokoju. Bądźcie pewni, że w dniu, kiedy zatrzymaliście się, aby popatrzeć na promień światła, snujący się przez jedną ze szpar drzwi życia, spełniliście czyn tak wielki, jakbyście rany opatrzyli wrogowi, bo w owej chwili nie mieliście wrogów.

Trzeba żyć, czatując na swego Boga, bo Bóg się ukrywa; lecz te ucieczki, skoro tylko dały się wysledzić, są tak uśmiechnięte i tak proste!

Odtąd, jedno nic odsłania nam Jego obecność; a wielkość naszego życia zależy od rzeczy tak drobnych! Nieraz, tu i ówdzie znajdzie się u poety wiersz, który wśród mizernych wypadków dnia codziennego odsłoni nagle jakąś rzecz nadzwyczajną. Żadne słowo uroczyste wypowiedzianem nie było, zdawałoby się, żeśmy niczego nie przyzywali; a jednak, dlaczegoż jakaś twarz niezwykła skinęła ku nam z za łez starca, dlaczego cała, długa noc, pełna aniołów, rozciąga się ponad uśmiechem dziecka, dlaczego jedno tak lub nie wyszeptane przez duszę, która śpiewa, pracując nad czemś innym, kazało nam zatrzymać się nagle, z zapartym w piersi oddechem i wskazało: „Oto jest dom Boga, oto jedno z wejść w niebiosa?“

A to wszystko dlatego, że ci poeci byli uważniejsi od nas „w bezkresnym cieniu“... W istocie poezya najwyższa nie jest niczem innym; i nie ma innego celu, jak trzymać otwarte, „wielkie drogi prowadzące od tego, co się da widzieć, do tego, czego się nie widzi“. Lecz jest to również cel najwyższy życia, i o wiele łatwiej dosięgnąć go w życiu niż w najszlachetniejszych poematach, bo poematy musiały się pozbyć dwóch wielkich skrzydeł milczenia. Niema dni małych. Trzeba, aby ta idea weszła w nasze życie i przetrzymała się w substancję. Nie idzie o to, aby

być smutnym! Drobne radości, drobne uśmiechy i wielkie łzy, wszystko to zajmuje ten sam punkt w przestrzeni i czasie. Możecie igrać w życiu równie niewinnie, „jak dziecię przy łożu umarłego“, i płacz nie jest niezbędnym. Uśmiechy równie dobrze jak łzy otwierają drzwi innego świata. Idźcie, przychodźcie, wychodźcie, znajdziecie, co wam trzeba w ciemnościach; lecz nie zapominajcie nigdy, że jesteście w pobliżu drzwi.

* * *

Po tem dłuższem odstąpieniu wracam do punktu, z którego wyszedłem, to jest: „że dobrze jest przypominać ludziom, że i najnędniejszy z nich ma możliwość wyrzeźbić podług modelu, którego nie wybiera, wielką indywidualność moralną, składającą się z dwóch równych części: z niego samego i z ideału“. Otóż ta „wielka indywidualność moralna“ rzeźbi się nieinaczej jak w głębokościach życia; a zbiornik niezbędnego ideału powiększa się dzięki tylko niestannym „podnoszeniom się ku boskości“. Każdy człowiek może dojść w duchu do szczytów życia cnotliwego i wiedzieć w każdej chwili, co należy czynić, aby postępować jak bohater lub jak święty. Ale nie to jeszcze jest ważnem. Trzeba, żeby duchowa atmosfera przetworzyła się dokoła nas w taki sposób, iżby stała się po-

Skarb pokornych. II

dobną do atmosfery pięknych krain złotego wieku Swedenborga, gdzie powietrze nie pozwalało wychodzić z ust kłamstwu. Dochodzi wówczas do tego, że najmniejsze zło, którebychciano popełnić, pada u nóg naszych jak kula ołowiana na tarczę brązu i niemal wszystko zmienia się według naszej chęci w piękno, miłość lub w prawdę. Ale taka atmosfera otacza tylko tych, którzy starali się często przewietrzać swe życie, otwierając drzwi do innego świata. Tylko w pobliżu tych drzwi coś widać. Tylko w pobliżu tych drzwi można kochać. Bo kochać bliźniego, to nie tylko ofiarować się mu, służyć, wspomagać, wspierać. Można nie być dobrym ani pięknym, ani szlachetnym pośród największych poświęceń się, i siostra miłoserdzia umierająca przy łożu tyfusowego, może mieć duszę zgorzkniałą, małą i nędzną. Kochać bliźniego w głębokościach stałych, to kochać to, co w nim jest wiecznego, bo bliźni, w najściślejшем słowa tego znaczeniu, to ten, kto najbardziej zbliża się do Boga, czyli do tego, co jest najczystsze i najlepsze w człowieku; więc trzymając się tylko w bliskości drzwi, o których mówiłem przed chwilą, odkryjecie, co jest w duszach boskiego. Możecie zatem powiedzieć z wielkim Janem Pawłem: „Kiedy chcę kochać czule jakąś drogą osobę i przebaczyć jej wszystko,

potrzeba mi tylko czas jakiś patrzeć na nią w milczeniu“. Aby umieć kochać, trzeba nauczyć się patrzeć. „Żyłem więcej niż lat dwadzieścia obok mojej siostry, opowiadał mi pewnego dnia mój przyjaciel, a zobaczyłem ją poraz pierwszy, w chwili zgonu naszej matki“. Trzeba tu było śmierci, któraby otwarła gwałtownie drzwi wieczne, iżby dwie dusze spostrzegły się w promieniu pierwotnego światła. Czyż jeden wśród was jest taki, który nie widzi otaczających go sióstr?

Na szczęście, w tych nawet, którzy widzą najmniej, jest zawsze coś, co działa w milczeniu, jak gdyby byli widzący. Możliwym jest, że być dobrym, to jakby nieco być w światłości, podczas gdy wszyscy pogrążeni są w ciemnościach. Oto dlatego pożytecznym jest starać się wyżej wznieść swe życie, dążyć ku szczytom, gdzie już dosięga się niemożliwości czynienia zła. Dlatego to pożytecznym jest przyzwyczaić swe oko do widzenia wypadków i ludzi w atmosferze boskiej. Ale i to nawet nie jest niezbędnym; różnica w oczach Boga musi wydawać się małą! Żyjemy w świecie, gdzie w głębi wszystkiego prawda króluje i gdzie nie prawda, lecz kłamstwo potrzebuje być wyjaśnionem. Jeśli szczęście waszego brata was zasmuca, nie pogardzajcie sobą; nie długą drogę macie do przebycia, aby

odnaleźć w sobie samych coś takiego, czego ono zasmucić nie zdoła. A jeśli nawet nie zrobicie tej drogi i to nic nie znaczy; coś jest, co nie dało się zasmucić...

Ci, którzy nie marzą o niczem, posiadają tę samą prawdę, jak i ci, którzy myślą o Bogu; ich prawda jest tylko dalej ode drzwi, oto i wszystko. „Nawet w życiu najbardziej prostaczem, mówi Renan, dział tego, co się czyni dla Boga, jest niezmiernym. Najniższy człowiek lubi lepiej być sprawiedliwym niż niesprawiedliwym; my wszyscy wielbimy, modlimy się niejednokrotnie w ciągu dnia, nie wiedząc o tem“. I dziwimy się, kiedy jakiś wypadek nagle nam odśłoni doniosłość tej boskiej w nas strony. Dokoła nas żyje tysiące biednych istot, które w całym swym życiu nic nie widziały pięknego; przychodzą, odchodzą w ciemnościach; wszystko zdaje się być w nich zamarłem; i nikt na nich nie zwraca uwagi. I oto nagle pewnego dnia jakieś słowo proste, jakieś niespodziewane milczenie, jakaś łza drobna, pochodząca z samych źródeł piękna, powiedzą nam, że w ciemnościach swojej duszy znaleźli sposób stworzyć ideał tysiąc razy piękniejszy niż najpiękniejsze rzeczy, które słyzały ich uszy, które ich oczy widziały. O, szlachetne a blade ideały milczenia i cieniu! To wy przede wszystkim budzicie uśmiechy aniołów i wstę-

pujecie prosto do Boga! W ilu niezliczonych chatach, w jakich mieszkaniach nędzy, w jakich więzieniach może łzami i krwią najczystszą karmi was biedna dusza, która nie uśmiechała się nigdy; tak pszczoły, gdy wszystkie kwiaty dookoła nich zmarły, ofiarują jeszcze tej, co ma być ich matką miód o wiele drogocenniejszy niż ten, jaki podają małym swym siostrom powszedniego żywota... Któż z nas nie spotkał niejednokrotnie na długich drogach życia duszy samotnej, która jednak nie straciła odwagi dążyć w ciemnościach; lub myśli, czystszej i bardziej boskiej, niż wszystkie myśli tych, co mieli możność wybierać w jasnościach. I tu także skromność jest ulubioną niewolnicą Boga; i dość jest może, aby kilku mądrych wiedziało, co czynić należy, iżby reszta wszyscy postępowali tak, jakby wiedzieli również...

PIĘKNO WEWNĘTRZNE.



nic niema w świecie bardziej chciwego piękności, nic niema w świecie, co by się łatwiej stawało pięknem, jak dusza. Nic niema w świecie, co by się wznosiło naturalniej i uszlachetniało prędzej. Nic niema w świecie, co by wypełniało ściślej rozkazy czyste i szlachetne, jakie się mu dają. Nic niema w świecie, co podpadałoby łatwiej królowaniu myśli, wyższej ponad inne. I mało dusz na ziemi opiera się wszechwładztwu duszy, która zdoła być piękną.

Zaprawdę, można byłoby powiedzieć, że piękno jest jedynym karmem naszej duszy. Ona go szuka wszędy i nawet w najniższym życiu nie umiera z głodu. Niema piękna, któreby przeszło zupełnie niespostrzeżonem. Zdarzyć się może, że przejdzie w bezwiedzy, lecz działa zarówno silnie w nocy, jak i w jasnościach dnia. Tylko tam wytwarza radość mniej uchwytną i w tem jest jedyna różnica. Przyjrzyjcie się ludziom najpospolitszym, gdy trochę piękna dotknie ich ciemności. Oto są razem zebrani, obojętna gdzie; gdy tak znajdują się razem niewiadomo poco, zdaje się, jakby najpierwszym ich sta-

raniem jest zamknąć wielkie drzwi życia. A jednak każdy z nich, gdy był sam, żył niejednokrotnie według swej duszy. Może kochał; cierpiał zapewne. A słyszał najpewniej „dźwięki dalekiej krainy Wspaniałości i Zgrozy“ i umiał niejednego wieczoru skłonić głowę w milczeniu przed prawami głębszemi niż morze. Lecz kiedy są razem, lubią upajać się rzeczami niskimi. Posiadają, nie wiem, jaką obawę przed pięknem; i czem są liczniejsi, tem bardziej się obawiają, tak jak obawiają się milczenia lub prawdy zbyt czystej. I jest to tak dalece prawdziwem, że jeśli zdarzy się któremu z nich spełnić w ciągu dnia jakiś czyn bohaterski, będzie się starał wymówić go, przydając mu czynniki pośledniejsze, czynniki zaczerpnięte z krainy niższej niż ta, w której się nagromadziły. Słuchajcie jednak: jakieś słowo wysokie i dumne zostało wymówione i znowu do pewnego stopnia otwarło się źródło życia. Jakaś dusza ośmieliła się ukazać taką, jaką jest w miłości, w bólu, przed obliczem śmierci albo w samotności, wobec gwiazd nocnych. Nastaje niepokój: twarze dziwią się lub uśmiechają. Lecz czyż nie uczuliście nigdy w takich chwilach, z jaką siłą jednaką wszystkie dusze uwielbiają, jak najsłabsza nawet przyznaje nieodwołalnie w głębi swego więzienia, że to słowo podobne jest do niej? Odradzają się na-

gle w swojej atmosferze pierwotnej i normalnej; i gdybyście mieli uszy aniołów, usłyszelibyście, jestem pewien, wszechpotężne oklaski w królestwie cudownych światła, kędy dusze mieszkają. Czy sądzicie, że gdyby podobne słowo było wymawiane co wieczór, dusze najbardziej bojaźliwe nie nabrałyby śmiałości, i czy ludzie nie żyłoby prawdziwiej?

Nie trzeba nawet, aby podobne słowo się powtarzało. Coś głębokiego już zaszło i zostawiło ślady bardzo głębokie. Dusza, która wymówiła to słowo, każdego wieczoru będzie poznana przez siostry swoje; sama jej tylko obecność będzie przydawała odtąd, nie wiem, coś wspaniałego uwagom najmniej znaczącym, W każdym razie zaszła jakaś zmiana, którą trudno bliżej określić. Rzeczy niższego rzędu nie będą miały tej siły wszechwładnej co zawsze i dusze strwożone będą wiedziały, że kędyś jest schronienie... Pewnem jest, że naturalne i pierwotne stosunki duszy z duszą są stosunkami piękna, Piękno jest jedyną mową naszych dusz. Innej one nie rozumieją. Nie mają innego życia, nie mogą stworzyć nic innego, nie mogą interesować się niczem innym; dlatego to każda myśl, każde słowo, każdy czyn wielki i piękny jest bezpośrednio oklaskiwany przez duszę, najbardziej uciśnioną i najbardziej niską nawet, jeśli wolno

powiedzieć, że są dusze niskie. Dusza nie posiada organu, któryby ją wiązał z innym żywiołem i może sądzić tylko podług piękna. Spostrzeżecie to na każdym kroku w waszym życiu; i wy nawet, którzy nieraz zaprzeczaliście pięknu, wiecie o tem tak dobrze jak i ci, którzy go szukają bezustannie w swem sercu. Jeśli którego dnia uczujecie głęboką potrzebę drugiej istoty, czy pójdziecie do tego, który wobec piękna uśmiechał się nędznym uśmiechem? Czy może do tego, który potrząsaniem głowy skalał jakiś czyn szlachetny lub chociaż tylko tendencję czystą?

Może byliście z tych, którzy jemu potakiwali; lecz w tej chwili doniosłej, kiedy prawda zapukała do waszych drzwi, zwróćcie się do kogoś innego, do tego, który umiał klęknąć i kochać. Dusza wasza osądziła w swych głębiach i ten sąd jej milczący a niezawodny, może w trzydzięści lat potem, wypłynie na powierzchnię i skieruje was ku siostrze, która była bardziej wami niż wy sami, ponieważ była bliżej piękna.

Trzeba tak niewiele, aby ośmielić piękno w duszy. Trzeba tak niewiele, aby rozbudzić uspiomych aniołów. Może nie trzeba wcale ich budzić — wystarczy poprostu nie usypiać ich. Może to nie jest wysiłkiem wznosić się, lecz raczej zstępować. Czyż nie trzeba wysiłku, aby nie

myśleć o rzeczach poziomych w obliczu morza lub w obec nocy? A jakaż dusza nie wie, że jest zawsze w obliczu morza albo w obec nocy? Gdybyśmy mniej obawiali się piękna, nauczylibyśmy się nic innego nie znajdować w życiu; bo w istocie pod wszystkim, co widzimy, znajduje się tylko piękno:

Wszystkie dusze o tem wiedzą, wszystkie dusze są w pogotowiu; lecz gdzież są te, które nie ukrywają swego piękna? Należy jednak, aby któraś „zaczęła“. Dlaczego nie mieć odwagi być tą, która zaczyna? Wszystkie inne są tu zebrane dokoła nas chciwie, jak małe dziatki przed zaczarowanym pałacem. Cisną się na progu, szepcą, podglądają przez szpary, ale nie śmia pchnąć drzwi. Czekaają, aż jakaś starsza osoba je otworzy. Lecz starsza osoba nie zjawia się prawie nigdy.

A jednak, czegoż potrzeba, aby stać się starszą osobą, której czekają nadejścia? Prawie niczego. Dusze nie są wymagające. Myśl niemal piękna, której nie wypowiedacie, a która was ożywia w tej chwili, prześwieca przez was, niby przez wazę przeźroczystą. One to widzą i przyjmują was zgoła innym sposobem niż gdybyście zamierzali oszukać swego brata. Dziwimy się, gdy niektórzy mówią, że nie spotkali nigdy prawdziwej brzydoty i że nie wiedzą jeszcze, co

znaczy dusza niska. Lecz niema w tem nic dziwnego. Oni to właśnie „zaczęli“. Oni to byli pierwsi pięknymi i przyciągnęli ku sobie wszelkie piękno, jak latarnia morska przyciąga ku sobie okręta ze wszystkich czterech stron świata. Są tacy, co naprzykład skarżą się na kobiety, a nie pomyślą, że przy pierwszym spotkaniu z kobietą dość jest jednego słowa, jednej myśli, przeczącej temu, co jest głębokie i piękne, aby zatruć na zawsze swój byt w jej duszy. „Co do mnie“, mówił mi pewnego dnia jeden mądry człowiek, „nie znałem ani jednej kobiety, któraby mi nie dała czegoś wielkiego“. On sam był wielki, i w tem cały sekret. Jedna jest rzecz, której dusza nie przebacza nigdy; to gdy jest zmuszoną widzieć, dotknąć lub podzielić brzydki czyn, słowo lub myśl brzydką. Nie może tego przebaczyć, bo przebaczać tu, jest to samej sobie zaprzeczyć. A jednak, być genialnym, być silnym, być zręcznym nie jest że to dla większości ludzi oddzielić swoją duszę od swego życia, nie jest że to usunąć starannie wszelką tendencję stania się głębokim? Postępują tak nawet w miłości, i dlatego to kobieta, która zawsze jest bliższą prawdy, niema z takim prawie ani chwili prawdziwego życia. Można byłoby powiedzieć, że istnieje jakaś obawa połączenia się ze swoją duszą i że ludzie starają się

być o setki mil od swego piękna. Trzeba byłoby przeciwnie, żeby starali się wyprzedzać samych siebie. Myślcie lub mówcie o rzeczach, które są nazbyt piękne, aby mogły być w was prawdziwemi; staną się jutro prawdziwemi, jeśli postaracie się dzisiejszego wieczoru myśleć lub mówić o nich. Starajmy się być piękniejszymi niż jesteśmy; nie przegonimy naszej duszy. Nie można się omylić, gdy idzie o piękno ciche i ukryte. Zresztą nie wiele znaczy, czy ktoś się myli czy nie, skoro tylko źródło wewnętrzne stało się dość czystem. Lecz któż może uczynić najmniejszy wysiłek, któregooby nie spostrzeżono? A jednak znajdujemy się tu w krainie, gdzie wszystko jest jasne, ponieważ wszystko oczekuje. Wszystkie drzwi są otwarte, należy tylko je pchnąć, i pałac jest pełen skutych królowych. Bardzo często dość jest jednego słowa, aby wymieść całe góry śmiecia. Dlaczego nie mieć tej odwagi, aby na nizkie pytanie dać odpowiedź szlachetną? Czy sądzicie, że przejdzie zupełnie niepostrzeżona albo że nie obudzi nic więcej nad zadziwienie?

Czy mniemacie, że się to nie zbliża bardziej do naturalnej rozmowy dwóch dusz? Nie wiadomo, co może ośmielić albo co uwolnić. Nawet ten, co odtrąci taką odpowiedź, uczyni mimo swej chęci krok jakiś ku swemu własnemu pięknu.

Piękna rzecz nie umiera, czegokolwiek nie oczyściwszy. Niema piękna, któreby zagać mogło. Nie trzeba obawiać się rozsiewać go po drogach. Pozostaną tam te ziarna tygodnie i lata, lecz tak jak brylanty, nie roztopnieją; ktoś znajdzie się, co przejdzie tamtędy, spostrzeże ich jaśnienie, pozbiera je i odejdzie szczęśliwy. Po cóż więc zatrzymać w sobie piękne, wysokie słowo w obawie, że inni go nie zrozumieją? Po co pętać najwyższą, rodzącą się dobroć, dlatego, że wam się zdaje, iż otaczający nie odniosą z niej żadnej korzyści? Czyż macie powstrzymać instynktywny ruch duszy ku wyżynom dlatego, że znajdujecie się wśród ludzi z dolin? Czyż głębokie uczucie traci swą dzielność w ciemnościach? Czy ślepiec tylko za pomocą oczu rozróżniać może tych, co go kochają, od tych, co nie kochają? Czy piękność potrzebuje dla swego istnienia być pojętą, a zresztą czy mniemacie, że w każdym człowieku niema czegoś, co pojmuje o wiele ponad to, co jak nam zdaje się, on pojmuje, o wiele także ponad to, co on sam mniema pojmować?

„Nawet najnędniejszym, mówił mi pewnego dnia najwyższy człowiek, którego miałem szczęście znać, nawet najnędniejszym nie miałem nigdy odwagi dać odpowiedzi poziomej lub brzydkiej. I widziałem, jak ten człowiek, a śledziłem za

nim czas długi, wywierał moc niewytłumaczoną nad duszami najciemniejszymi, najślepszymi, najbardziej zamkniętymi w sobie, najbardziej buntowniczymi nawet. Żadne usta bowiem nie mogły wypowiedzieć potęgi duszy, która usiłuje żyć w atmosferze piękna i sama jest piękną czynnie. I nie jest że to zresztą jakość tej czynności, która czyni życie nędznem lub wzniosłem?

Gdyby można sięgnąć w głąb rzeczy — czyż nie należałoby powiedzieć, iż potęgą jakichś dusz pięknych podtrzymuje inne dusze w ciągu ich życia. Czyż idea, jaką każdy wytwarza sobie o kilku duszach wybranych, nie jest jedyną nauką moralną, żywą i skuteczną? Lecz w tej idei, jakież jest udział duszy wybranej a jaki tej, która wybiera? Czy się to nie splata bardzo tajemniczo i czy ta etyka idealna nie dosięga głębin, których etyka najpiękniejszych ksiązek nie potrafi z wierzchu nawet dotknąć? Jest tu wpływ rozległości o brzegach nader trudnych do określenia i źródło siły, u którego niejednokrotnie każdy z nas codzień pije.

I czy jakiś rys ujemny w tych istotach, które uważaliście za doskonałe i które kochaliście w krainie piękna, nie zmniejszy bezpośrednio waszej ufności w ogólną wielkość rzeczy i waszego dla nich uwielbienia?

A z drugiej strony wierzę, iż nic w życiu nie

upiększa duszy bardziej nieuchwytnie, bardziej naturalnie jak pewność, że kędyś, nie daleko, jest istota piękna i czysta, którą kochać można bez zastrzeżeń. Jeśli można zbliżyć się rzeczywiście do takiej istoty, to piękność przestaje być piękną rzeczą martwą, którą pokazuje się obcym; lecz nabiera nagle imponującego życia, a czynność jej staje się tak dzielną, że nic się jej oprzeć nie zdoła. Dlatego to myślcie często o tem; nie jest się samotnym; niech dobrze czuwają.

Plotyn w VIII księdze piątej Enneady, mówiąc o „pięknie nadprzyrodzonym“ to jest boskiem, tak kończy: „Jesteśmy piękni, jak tylko należymy do samych siebie; a brzydcy, skoro zniżamy się do natury niższej. I jeszcze — jesteśmy piękni, kiedy znamy siebie i brzydcy, gdy o sobie nie wiemy“. Nie zapominajmy zatem; jesteśmy na wyżynach, gdzie nie znać siebie, nie jest poprostu nie wiedzieć, co się w nas dzieje, kiedy jesteśmy zakochani albo zazdrośni, bojaźliwi albo zawistni, szczęśliwi lub nieszczęśliwi. Nie znać się, gdzie jesteśmy, to nie wiedzieć, co w ludziach dzieje się boskiego. Jesteśmy brzydcy, skoro oddalamy się od bogów, którzy w nas mieszkają; a stajemy się pięknymi w miarę, jak się do nich przybliżamy. Lecz nie odnajdziemy boskości w innych, zanim jej nie

ukażemy im w nas samych. Trzeba, aby jeden z bogów dał znak drugiemu bogowi; a bogi odpowiadają natychmiast na znak najmniej widoczny.

Nigdy nie jest dość często to powtarzać; najdrobniejsza szpara wystarczy, aby wody z nieba przeniknęły w duszę. Wszystkie kruże podniesione są ku nieznanemu źródłu; jesteśmy w miejscu, gdzie się marzy jedynie o pięknie. Jeśliby można było spytać anioła, co dusze robią w cieńcu, sądzę, że może po długich latach badania, daleko poza tem, co podług ludzi dusze robią, odpowiedziałby: „Te drobne rzeczy, które im są dane, zamieniają w piękno“. Ach, trzeba przyznać, że dusza ludzka niezwykłą ma odwagę! Ośmiela się pracować przez całą noc w ciemnościach, dokąd większość z nas ją spycha, gdzie nikt do niej nie mówi. Nie skarżąc się, robi tam, co może; i z kamyków, które jej rzucają, usiłuje wyrwać zaród wiecznego światła. A podczas swej pracy, baczy nieustannie, czy nie mogłaby pokazać jakiej swej siostrze bardziej ukochanej, lub przypadkowo zbliżonej, pracowicie zebrane przez się skarby. Ale tysiące jest istnień, gdzie żadna siostra się nie zjawia, i gdzie życie czyni duszę tak załęczoną, że odchodzi, nie rzekłszy słowa, nie przystroiwszy ani razu w najskromniejsze kamyki swej skromnej korony...

A mimo wszystko, czuwa nad każdą rzeczą w swem niewidzialnem niebie. Ostrzega, kocha, wielbi, przyciąga, odpycha. Przy każdym nowym wypadku występuje na powierzchnię, oczekując, aż zmuszą ją zejść, bo uchodzi za upartą i szaloną. Błąka się jak Kassandra pod portykami Atrydów. Powtarza tam nieustannie słowa, których sama prawda jest cieniem tylko i nikt jej nie słucha. Jeśli wzniesiemy oczy, ona czeka promienia słońca lub gwiazdy, z którego chce utkać myśl lub nawet bezwiedną tendencję bardzo czystą. A jeśli oczy nasze nic jej nie powiedzą, potrafi biedne swe rozczarowanie przemienić w jakąś rzecz niewymówną, którą taić będzie do śmierci. Jeśli kochamy, ona za zamkniętymi drzwiami upaja się światłem; a oczekując ciągle, nie traci chwili; i to światło, sączące się przez szpary, staje się dla niej dobrocią, pięknnością lub prawdą. Lecz jeśli drzwi się nie otworzą, (a w iluż istnieniach nie otwierają się wcale!) ona wraca do swego więzienia, a smutek jej może stać się wówczas prawdą jeszcze wyższą, lecz niewidzialną, bo zamieszkujemy w miejscu dziwnych przeobrażeń; to, co się nie rodzi po tej stronie drzwi, nie ginie wprawdzie, lecz się już nie miesza do naszego życia...

Mówilem przed chwilą, że dusza przemienia w piękno wszystkie drobne rzeczy, które jej po-
Skarb pokornych.

dadzą. Zdaje się nawet, w miarę, jak się nad tem myśli, że nie ma innej nad tę racyi bytu; cała jej działalność ściąga się do tego, aby w głębi nas nagromadzić skarby piękności, nie dającej się opisać. Czy wszystko nie zamieniłoby się w piękno, gdybyśmy nie przeszkadzali bezustannie wytrwałej pracy naszej duszy? Czy same zło nie stanie się drogocennem, skoro ona wydo stanie z niego głęboki brylant skruchy? Czy popelnione przez was niesprawiedliwości i lży przez was wylane nie staną się z czasem — nawet one! — światłem w duszy waszej i miłością? Czy zagłądaliście w głąb waszą własną, w to królestwo oczyszczających płomieni? Wyrządzono wam dzisiaj wielkie zło; ruchy były nędzne, czyn był niski i smutny; płakaliście w tej brzydocie. Jednak, w kilka lat potem rzucicie okiem w swoją duszę; i powiedzcie mi, czy nie dostrzegacie pod wspomnieniem tego czynu czegoś, co już jest czystsze niż myśl, jakiejs siły nie dającej się nazwać, nie mającej żadnych związków ze zwykłemi siłami tego świata, jakiegoś, nie wiem, źródła „innego życia“, z którego możecie pić bez wyczerpania, do waszych dni ostataka. A jednak nie pomagaliście niestrudzonej królowej; myśleliście nawet o czem innem, podczas gdy sam fakt się oczyszczał mimo waszej wiedzy w ciszy waszej istoty i powiększał dro-

gocenną wodę wielkiego zbiornika prawdy lub piękności, który nie jest tak wzburzony, jak mniej głęboki zbiornik myśli pięknych lub prawdziwych, lecz zostaje na zawsze w ukryciu przed powiewem życia.

„Nie ma ani jednego faktu, ani jednego wypadku w naszym istnieniu, mówi Emerson, któryby nie stracił swojej formy bezwładnej, podatnej, który nie zadziwiłby nas, gdy bierze z głębi naszego ciała swój wzlot ku Empyrei“. I jest to prawdą, nawet o stopień wyższą niż Emerson przeczuwał, bo w miarę, jak się zbliżamy ku tej dziedzinie, odkrywamy sfery coraz bardziej boskie.

Nie dość jest wiadomem, czem jest ta niema czynność dusz nas otaczających. Powiedzieliście słowo czyste istocie, która go nie zrozumiała. Macie je za stracone i już nie myślicie o niem. Ale oto kiedyś, wypadkiem, słowo powstaje w niebywalej przemianie, i możemy oglądać niespodziewane owoce, które wydało w ciemności; potem wszystko zapada w milczenie. Lecz cóż to szkodzi? Dowiedzieliśmy się, że nic w żadnej duszy nie ginie i że najmniejsza z nich ma swoje chwile świetności. Tu się nie można omylić: najniezszczęśliwsi nawet i najbardziej ogołoceni na przekór samym sobie mają w głębi swej istoty skarb piękna, którego nie zdołają uszczu-

plić. Trzeba tylko poprostu nauczyć się zeń czerpać. Piękno nie powinno być w życiu świętem odosobnionem, lecz stać się musi świętem codziennem.

Nie trzeba wielkiego wysiłku, aby zaliczyć się do rzędu tych, „w czyich oczach kwiecista ziemia i jaśniejące niebiosy przedstawiają się nie w cząstkach nieskończenie małych lecz we wspólnych ogromach“, a mówię tu o kwiatach i niebiosach trwalszych i czystszych niż te, które codzień widzimy. Jest tysiące przejść, przez które dusza nasza może dotrzeć aż do naszej myśli. Jest przedewszystkiem główne a cudowne przejście miłości.

Czyż nie w miłości znajdują się najczystsze żywioły piękna, jakie możemy ofiarować duszy? Są istoty, które tak miłują się w pięknie. Tak kochać, to tracić powoli poczucie brzydoty; to stawać się ślepym na wszystkie rzeczy drobne, i widzieć tylko świeżość i dziewiczość dusz najpokorniejszych. Tak kochać, to nie czuć już nawet potrzeby przebaczenia. Tak kochać, to nie módz już nic ukryć, bo nie zostało już nic takiego, czegoby dusza, zawsze czujna nie zamieniła w piękno. Tak kochać, to widzieć zło po to, aby je oczyścić rozgrzeszeniem, i aby się nauczyć nie mieszać grzesznika z jego grzechem. Tak kochać, to tych wszystkich, którzy

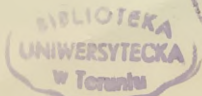
nas otaczają, podnieść w sobie na wyżyny, z których nie mogą upaść, gdzie każdy niski czyn z takiej wysokości pada, że dotykając ziemi, mimowoli wyzwala swą duszę brylantową. Tak kochać, to przetwarzać bezwiednie w bezgraniczne ruchy, najdrobniejsze intencje, które dookoła nas czuwają. Tak kochać, to zwołać na święto miłości wszystko, co jest pięknego na ziemi, na niebie i w duszy. Kochać tak, to stać przed drugą istotą takim, jakim się stoi przed Bogiem. Kochać tak, to trzymać w pogotowiu na najmniejsze skinienie obecność swojej duszy i wszystkich jej skarbów. Aby dusza się ukazała, nie trzeba już śmierci, nieszczęść lub łez; jeden uśmiech wystarczy. Tak kochać, to prawdę w szczęściu dojrzeć tak głęboko, jak niektórzy bohaterowie widzieli ją w jasności wielkich bólów. Tak kochać, to już nie módz rozróżnić piękna przemienionego w miłość od miłości przemienionej w piękno. Tak kochać, to nie módz już powiedzieć, gdzie kończy się promień gwiazdy, a gdzie się zaczyna pocałunek jednej wspólnej myśli. Tak kochać, to tak się zbliżyć do Boga, że się staniiesz własnością aniołów. Tak kochać, to wypiękniać wspólnie razem duszę, która staje się powoli jedynym aniołem, o jakim Swedenborg mówi. Tak kochać, to odkrywać codzien nowe piękno w tym tajemniczym aniele,

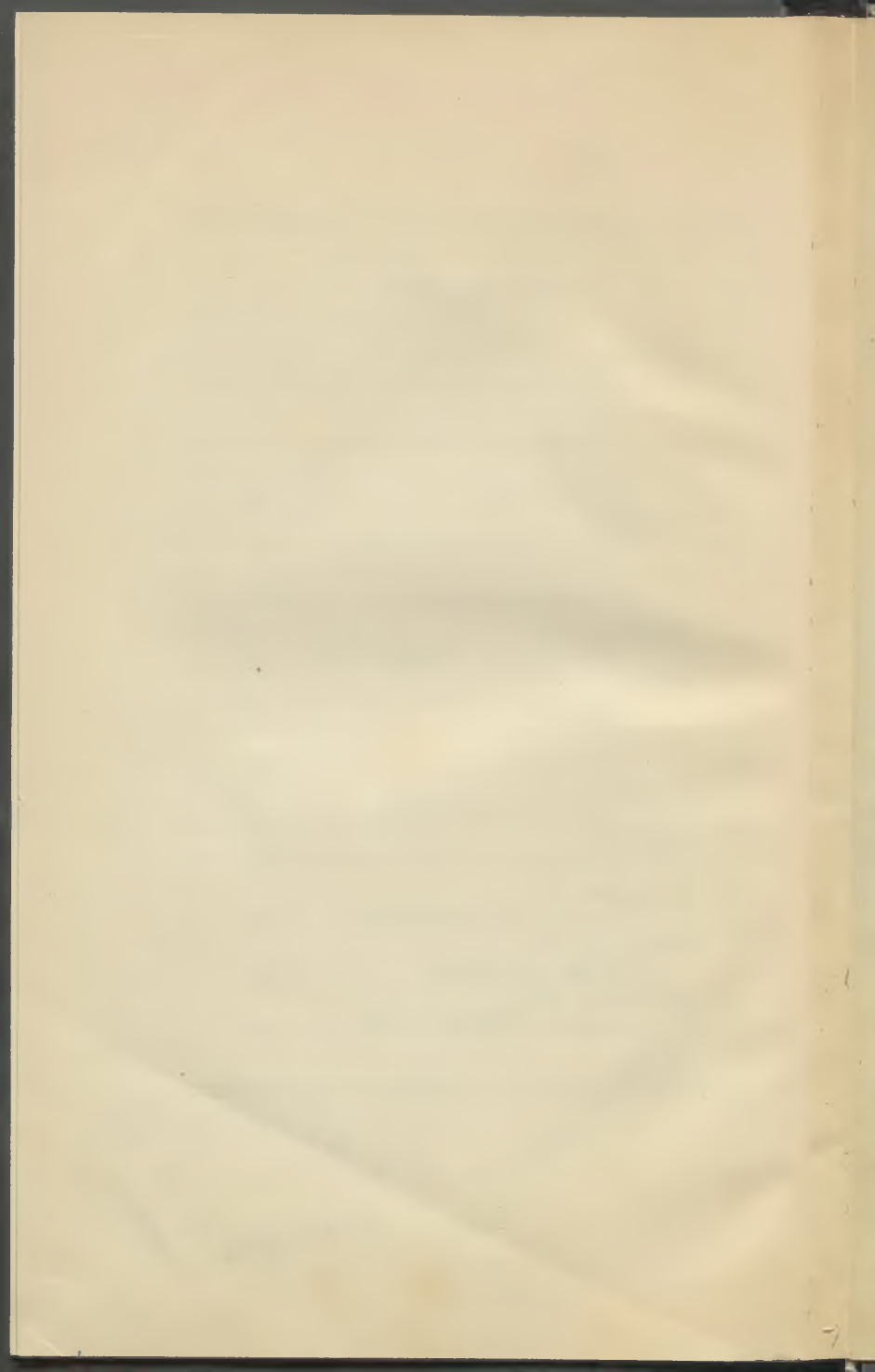
to postępować razem w coraz to żywszej dobroci, w coraz to wyższej. — Bo jest i martwa dobroć, która się tworzy z przeszłości; ale miłość prawdziwa czyni przeszłość nieużyteczną i stwarza niewyczerpaną przyszłość dobroci bez nieszczęść i bez łez. Tak kochać, to duszę wyzwolić i stać się pięknym jak wyzwolona dusza. „Jeśli we wzruszeniu, jakiego musisz doświadczać w obec tego widoku — powiedział w rzeczach analogicznych wielki Plotyn, który ze wszystkich umysłów jakie znałem, stał najbliżej bóstwa, — jeśli we wzruszeniu, jakiego musisz doświadczać w obec tego widoku, nie uznasz, że jest pięknym i jeśli topiąc wzrok w sobie samym, nie odczujesz wówczas uroku piękna, to naprózno szukałbyś w innej podobnej chwili duchowego piękna; bo już go szukać będziesz z tem, co jest nieczyste i brzydkie. Oto, dlaczego słowa, które tu wypowiadamy nie odnoszą się do wszystkich ludzi. Lecz skoro odnalazłeś w sobie piękno, wznieś się do wspomnień piękna nadziemskiego...”

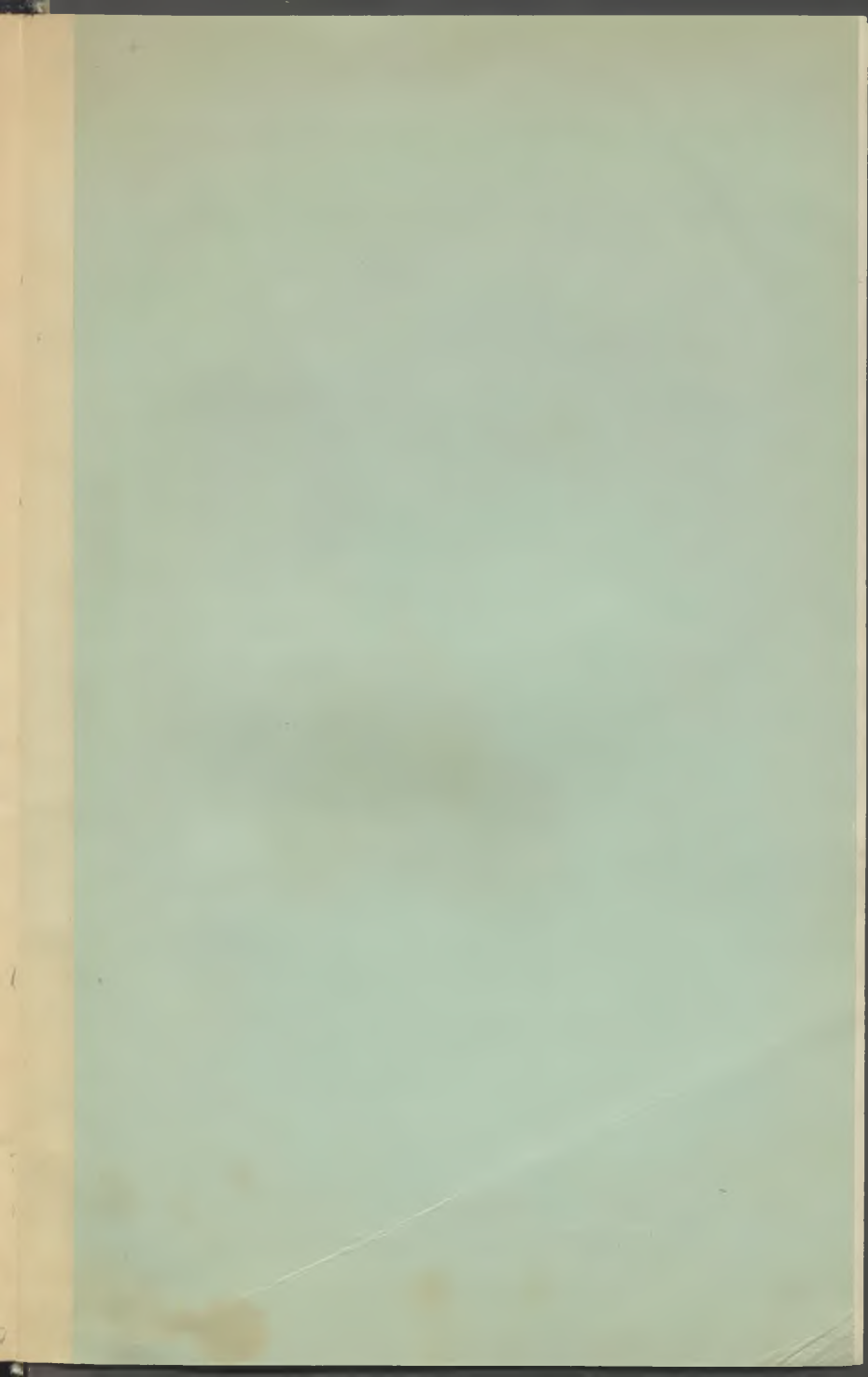


SPIS RZECZY.

	STR.
ROZDZIAŁ I.	
MILCZENIE / / / / / / / /	7
ROZDZIAŁ II.	
PRZEBUDZENIE SIĘ DUSZY /	19
ROZDZIAŁ III.	
OSTRZEŻENI / / / / / / / /	30
ROZDZIAŁ IV.	
MORALNOŚĆ MISTYCZNA /	38
ROZDZIAŁ V.	
O KOBIETACH / / / / / / / /	47
ROZDZIAŁ VI.	
RUYSBROECK PRZEDZIWNY	57
ROZDZIAŁ VII.	
EMERSON / / / / / / / /	77
ROZDZIAŁ VIII.	
NOVALIS / / / / / / / /	92
ROZDZIAŁ IX.	
TRAGIZM POWSZEDNI / /	106
ROZDZIAŁ X.	
GWIAZDA / / / / / / / /	121
ROZDZIAŁ XI.	
DOBROĆ NIEWIDZIALNA / /	136
ROZDZIAŁ XII.	
ŻYCIE GŁĘBOKIE / / / / / / / /	149
ROZDZIAŁ XIII.	
PIĘKNO WEWNĘTRZNE / /	166





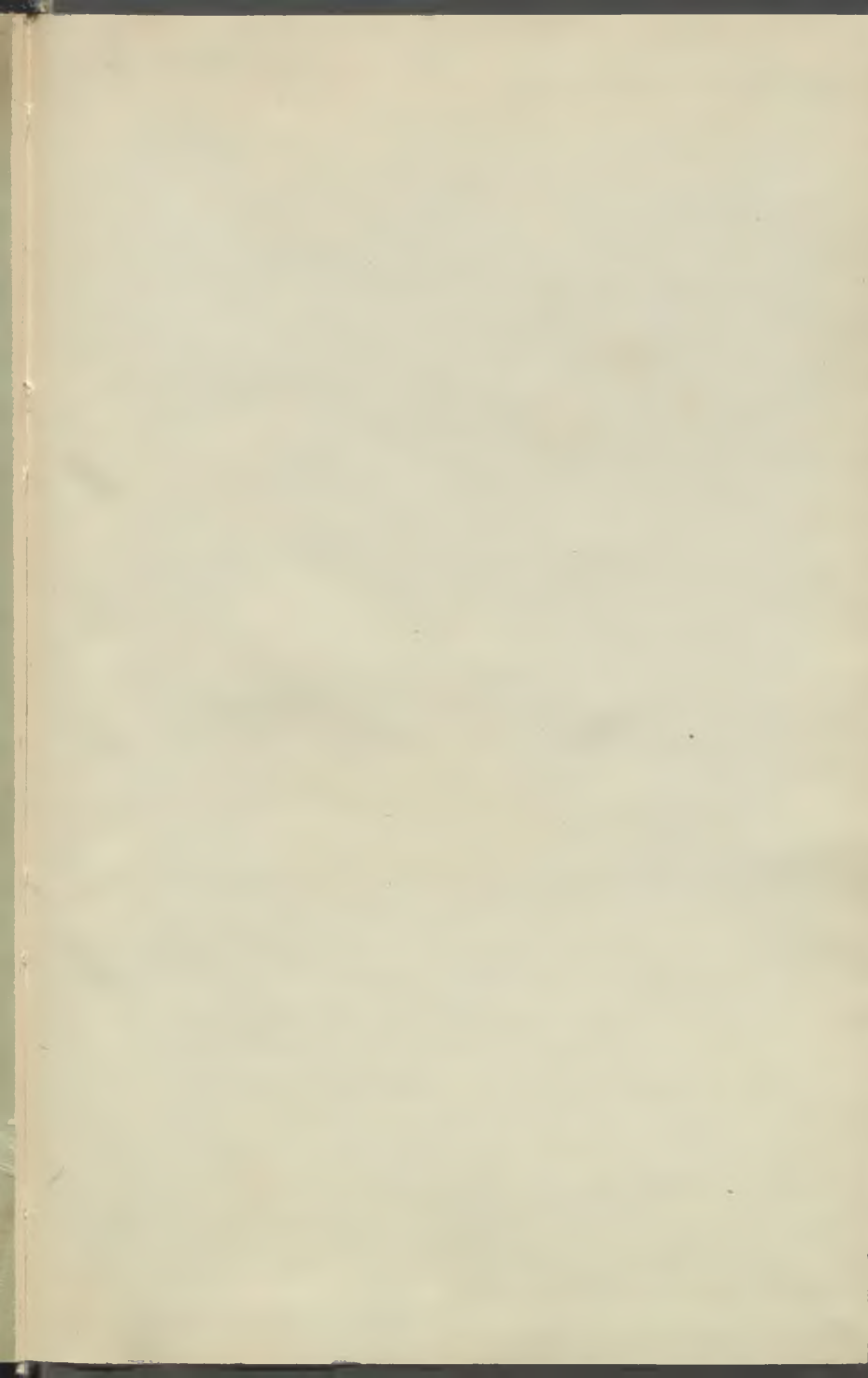


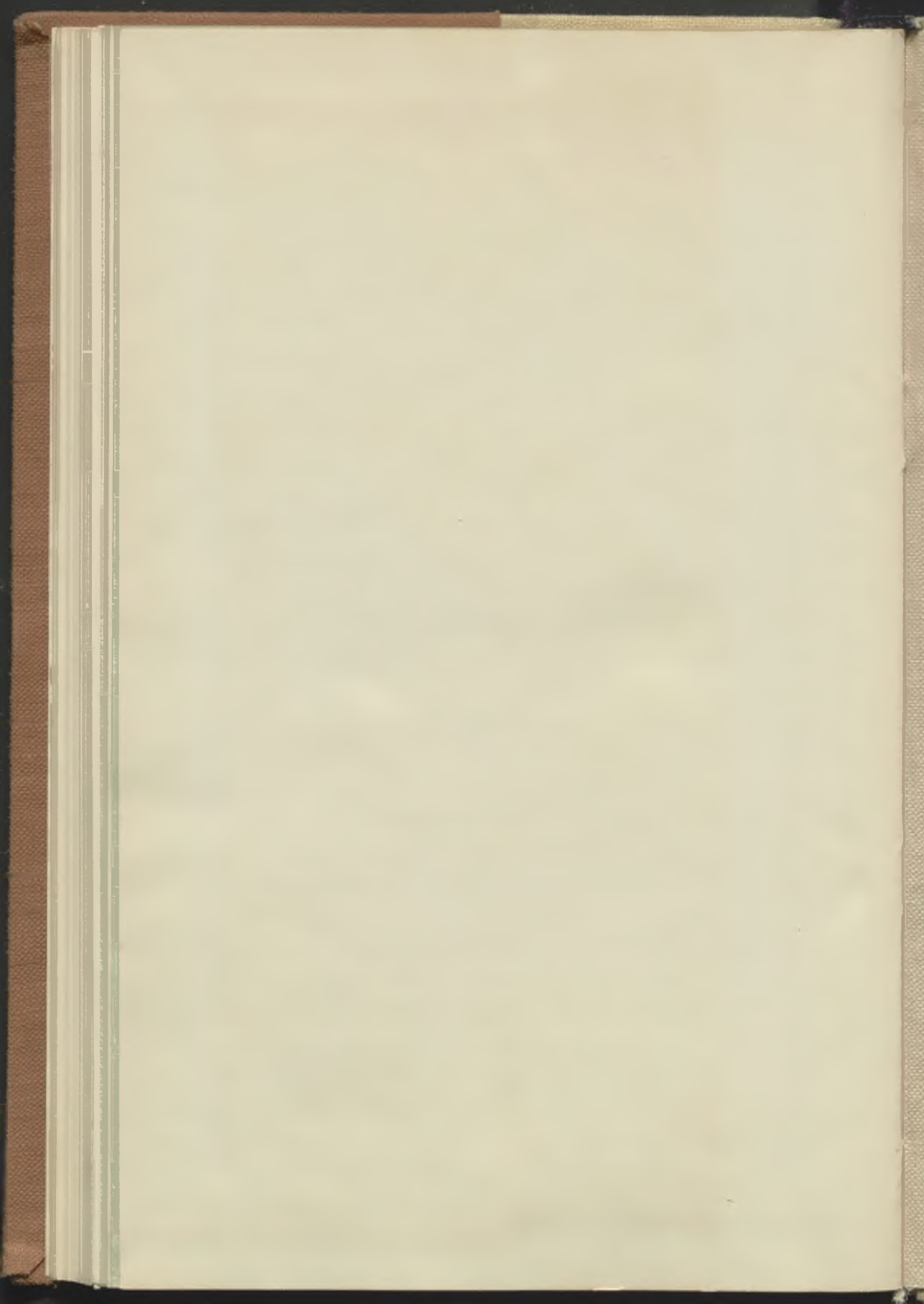
321442 50
1914

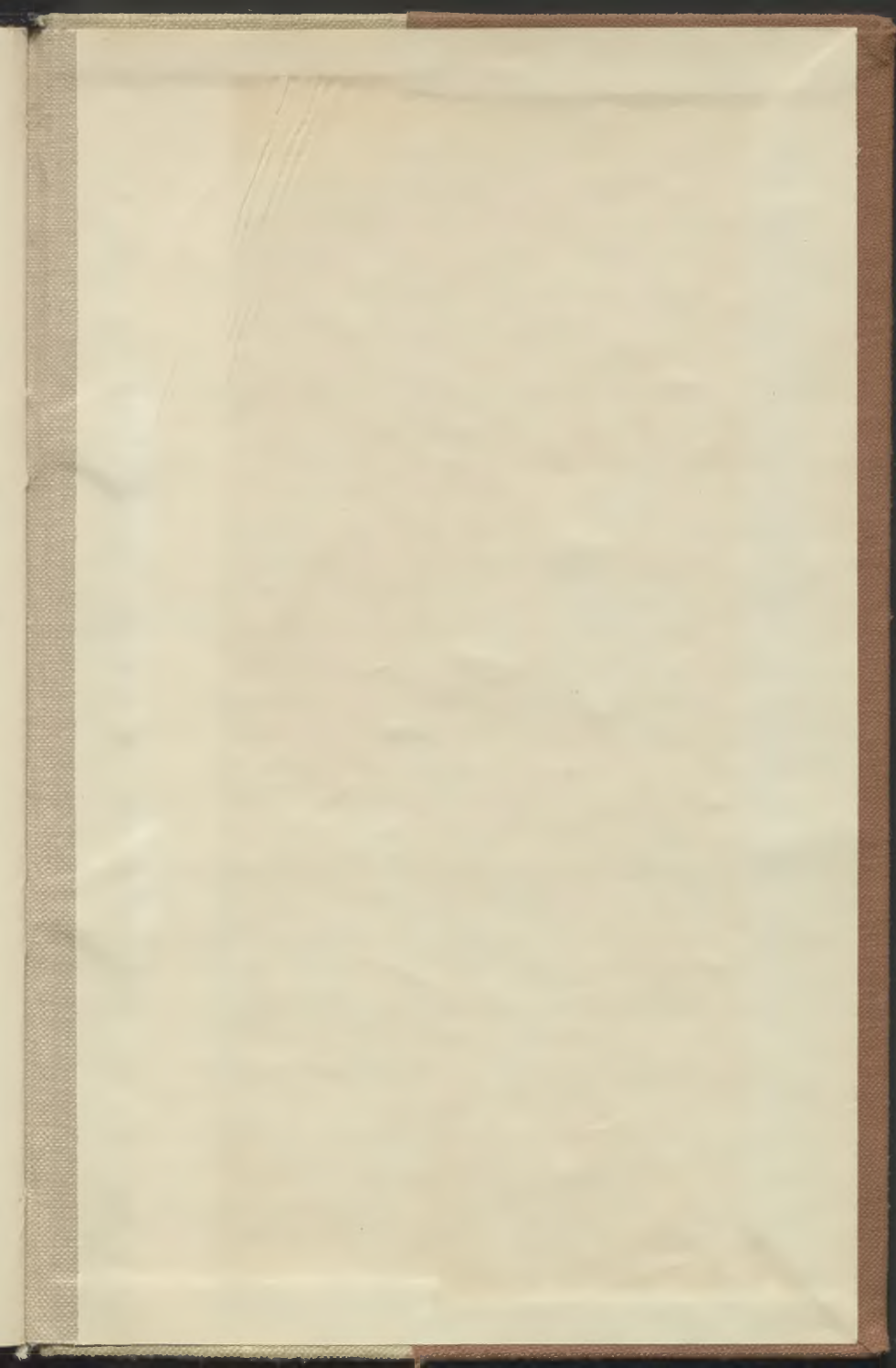
NOWSZE WYDAWNICTWA
KSIĘGARNI POLSKIEJ
B. POŁONIECKIEGO

WE LWOWIE.

- Gorzycki K. Dr.* Zarys społecznej historii państwa polskiego. K. 6, w oprawie K. 7.
- Hojnacki Wł. D.* Hygiena kobiety, ilustr. K. 2.60.
- Kasprowicz J.* Miłość. Z ilustracyami E. M. Liliena i E. Okunia, K. 6, w ozdobnej oprawie K. 8.
- Moja pieśń wieczorna. Poematy: Na wzgórzu śmierci. Święty Boże, święty Mocny. Dies Irae. Salome. Z portretem autora w heliograwurze K. 4, w ozdobnej oprawie K. 5.
- Salve Regina. Poematy: Hymn św. Franciszka z Assyżu. Judasz. Marya Egipczyanka. K. 3.50, w ozdobnej oprawie K. 4.50.
- Nowaczyński Adolf N.* Mąpie zwierciadło. Satyry. K. 5.
- Orkan Wł.* Skapany świat. K. 1.20.
- Poe Edgar Al.* Morderstwo na rue Morgue i inne nowelle. K. 3.
- Przybyszewski St.* Dla szczęścia. K. 2.
- Goście. 80 hal.
- Na rozstaniu. K. 3.60.
- Na tym padole płaczu. K. 2.
- Taniec miłości i śmierci: Złote runo. — Goście. K. 2.
- Złote runo. K. 1.40.
- Schreiber Wł.* Małżeństwo i jego dzieje, z jedną tablicą i 20 ilustracyami w tekście. K. 4.
- Słowacki J.* Listy. Z autografów poety wydał po raz pierwszy L. Méyet, 2 tomy K. 7, w ozdobnej oprawie K. 9.
- Staff L.* Dzień duszy. K. 2.60.
- Mistrz Twardowski. K. 6.
- Szelągowski A. Dr.* Polska na przełomie wieków średnich i nowych, w druku.
- Walka o Bałtyk, w druku.
- Wagner R.* Latający Holender, 80 hal.
- Walkiryja. K. 1.50.
- Zapolska G.* Jak tęcza. K. 4.







32